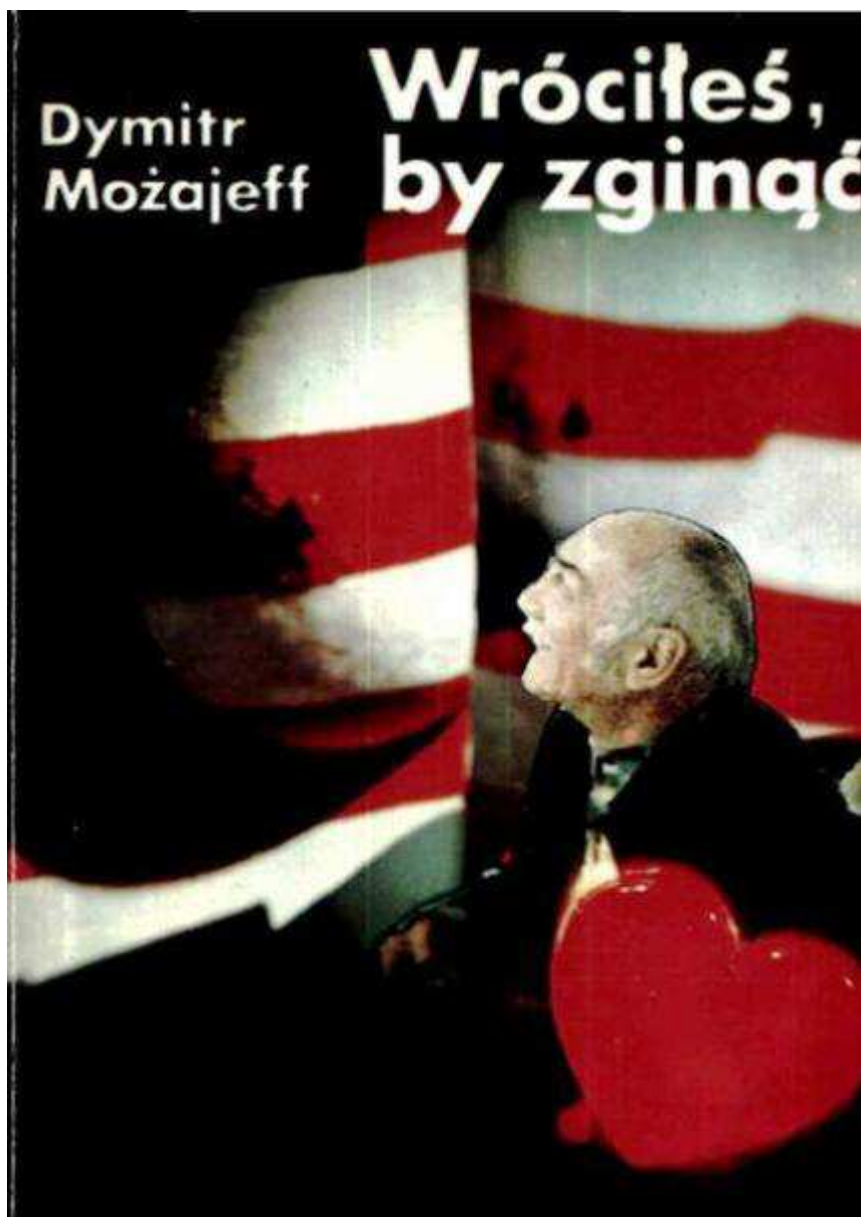


Dymitr
Możajeff

Wróciłeś,
by zginąć



- Czyżbym się mylił? - Porucznik w zamyśleniu patrzył na Kolczyka. - Czy oprócz garażu i tej piwniczki nie ma tu już innych pomieszczeń gospodarczych?

- O ile wiem, to nie ma.

- Czy nie wydaje się wam, że jak na tak duży dom, to trochę ta piwniczka za mała?

- Duża nie jest. Ale przecież mogło się zdarzyć, że większej nie zrobili.

- To mi się nie zgadza. Musi tu być jeszcze coś, jakaś spiżarnia, druga piwnica... - Porucznik uderzył się w czoło i wszedł do kuchni.

Przyświecając sobie latarką obejrzał dokładnie rozłożone na podłodze linołecum. W jednym z rogów było lekko wybrzuszone. Odgiął brzeg wykładziny i jego oczom ukazała się duża kłapa prowadząca do pomieszczenia pod podłogę. Podważył ją palcem i odchylił ku górze. Wysunęła mu się jednak z rąk i z hukiem upadła na podłogę. Stał nasłuchując. Po chwili na schodach rozległy się kroki.

Dymitr Możajeff

**Wróciłeś,
by zginąć**

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

Fotograficzny projekt tytułu
Jan i Walentyna Fleischmanowie
Układ typograficzny okładki i karty tytułowe;
Jan i Walentyna Fleischmanowie
wg projektu
Teresy Cichowicz-Porada
Redaktor techniczny
Urszula Woźnicka
Korekta
Irena Siemiątkowska, Anna Jurewicz
KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”
Warszawa 1977
Wydanie I. Nakład 100.000 + 350 egz
Objętość ark, wyd. 0,89, ark, druk 5,40.
Papier offset mat 70 g, rola 53 cm.
Nr prod XIX-5/1775/76
Oddano do składu dn. 3. 02 77 r,
podpisano do druku w kwietniu 1977 r,
druk ukończono w kwietniu 1977 r.
RSW „Prasa-Książka-Ruch”,
PZGraf, w Łodzi
Zam. 280/77. F-5.
Cena zł 29,-

Skąd znam tą twarz? – Pleśniewicz odstawił szklanę.

Mężczyzna przy stoliku w kącie sali nachylił się ku swojej towarzyszce. Jego srebrzystosiwe włosy połyskiwały w przyćmionym świetle. W otwartych z trzaskiem drzwiach pojawiło się trzech młodzieńców w dżinsach i zielonych kurtkach. Podeszli do baru, spoglądając z pogardliwym zaciekawieniem na Pleśniewicza. Czuli się tu jak u siebie w domu.

– Harcerzyki – rzucił jeden barmance. Wysoki blondyn wyciągnął z kieszeni paczkę Pall Malli. Chowając ją z powrotem do kurtki, potrącił majora łokciem.

– O pardon – zakaszał.

Jego kumple natychmiast wybuchnęli perlistym śmiechem. Ogólną wesołość przerwał niski brunecik.

– Patrzcie, Bibi tam siedzi – krzyknął, wskazując palcem towarzyszkę siwowłosego mężczyzny. Dwaj pozostali jak na komendę odwrócili głowy w stronę kąta sali.

– Bibi! – wykrzyknął blondyn, zsuwając się z barowego stołka.

Barmanka porozumiewawczo spojrzała na Pleśniewicza.

– Napije się pan jeszcze? – zapytała uprzejmie.

- Proszę. – Pleśniewicz nadal obserwował kąt sali.
- To co zwykle?
- To co zwykle.

Stali już przy stoliku. Mężczyzna z siwą czupryną odwrócił się ze zdumieniem. Blondyn trzymał kobietę za łokieć.

– Nie przedstawisz nas, Bibi? – W jego głosie dźwięczały tony prowokacji i zaczepności.

– Pan nam wybaczy – bełkotał brunecik do siwego mężczyzny. – Niech nam pan wybaczy – powtórzył. – My tak z czystej przyjaźni.

To niemożliwe – myślał Pleśniewicz. – Skąd by się tutaj wziął? Ale ta twarz... Niby inna... bardziej pociągła i jakaś ostrzejsza... A jednak... Minęło przecież tyle lat.

Siwowłosey mężczyzna wstał i zaczął przyciszonym głosem coś mówić. Młodzieńcy w kurtkach nagle zamilkli. Stali, patrząc na spokojnie poruszające się wargi mężczyzny. Kobieta, wyraźnie zażenowana sytuacją, siedziała bez ruchu, z lekko pochyloną głową. Nie drgnęła nawet wówczas, gdy jej towarzysz skończył mówić, skłonił się stojącym przed nim chłopcom i usiadł.

Młodzi ludzie stali jeszcze przez chwilę, jakby nie wiedzieli, co dalej robić, przypominając tym nieco skarconych przez nauczyciela uczniów. Wreszcie, mamrocząc coś między sobą, zawrócili do baru. Tu opróżnili swe szklanki i pospiesznie wyszli.

– Kim jest ten pan? – spytał barmankę przytłumionym głosem Pleśniewicz.

– Ten w rogu sali? Przychodzi tutaj czasem – mówiła, wpatrując się w siwowłosego mężczyznę. – Niezbyt często, ale regularnie. Mniej więcej od pół roku – zakończyła w zamysleniu. – A co – ożywiła się po pauzie – jakiś lewy typ? Pan major może go ma na oku?

– Ależ nie, skądże znowu – zaprzeczył energicznie Pleśniewicz. – Czy pani sądzi, pani Kasiu, że ja tylko wtedy interesuję się ludźmi, gdy mają coś na sumieniu?

– Nie wygląda mi na takiego.

- Mam po prostu wrażenie, że znam tego człowieka.
- To się zdarza – stwierdziła sentencjonalnie barmanka. – Nalać jeszcze? – dodała, wskazując szklankę.
- Nie, nie, to niemożliwe – zaprzeczył Pleśniewicz. – To nieprawdopodobne... – zakończył w zamyśleniu.

Pani Kasia, niezbyt zainteresowana rozważaniami majora, zniknęła wraz z trzymaną w rękę ściereczką na zapleczu. Pleśniewicz kątem oka spostrzegł, że interesujący go mężczyzna wstał. Przepuścił swą towarzyszkę i podążył za nią po wysłanej czerwonym dywanem podłodze. Gdy znalazł się obok baru, zatrzymał się i wyjął z portfela dwa stułotowe banknoty. Kobieta spytała go o coś szeptem. Skinął twierdząco głową.

– Sto siedemdziesiąt trzy złote – powiedziała barmanka, która właśnie pojawiła się w drzwiach łączących pomieszczenia gospodarcze z barem.

Mężczyzna wręczył jej dwieście złotych i ruchem głowy podziękował za resztę.

Pleśniewicz, pochylony dotąd nad szklanką, uniósł na chwilę głowę i spojrzał na niego przelotnie. Mężczyzna chyba wyczuł to spojrzenie, bo odchodząc już od baru, odwrócił się na moment i jakby uderzony niespodziewanym dla siebie widokiem, zatrzymał się w pół kroku. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, ale kobieta ujęła go za ramię i pociągnęła ku wyjściu.

Pleśniewicz spojrzał na zegarek. Była czwarta po południu.

– Może mnie pan wysadzić tutaj – powiedział do taksówkarza. – Przejdę się kawałek.

Samochód skręcił i zatrzymał się przed kościołem Wizytek.

Pleśniewicz wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Przebiegł skwerek i schodkami zszedł na Karową. Już na klatce schodowej usłyszał dzwonek telefonu. Wbiegł do mieszkania i pochwycił słuchawkę.

- Czy pan Pleśniewicz? – głos wydał mu się znajomy.
- Owszem, przy telefonie.
- Słuchaj – właściciel nie znanego majorowi głosu niespodziewanie przeszedł na ty – i nie przestrasz się... – Major nie zareagował. – Mówi Palewski.
- Więc jednak miałem rację – mruknął jakby do siebie Pleśniewicz.
- Co mówisz?
- Nic, nic. Nie dalej jak wczoraj miałem wrażenie, że cię widziałem.
- W „Bristolu”?
- Dlaczego nie podszedłeś?
- Czy ja wiem? A ty?
- Nie byłem pewien. Poza tym... byłeś w towarzystwie.
- Prawdę mówiąc, to ja też nie byłem pewien, jak mnie przyjmiesz. Zresztą spostrzegłem cię dopiero w ostatniej chwili.
- Uhum – mruknął Pleśniewicz. Nie wiedział, co dalej mówić.
- Milczał również Palewski. Dopiero po chwili oderwał się ponownie:
- Karolu...
- Tak...
- Czy chcesz się ze mną zobaczyć?
- Ależ oczywiście. Dlaczego o to pytasz?
- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Myślałem, że może będzie ci to nie na rękę.
- Nie wygłupiaj się. Od jak dawna jesteś w Polsce? – Pleśniewicz nagle odnalazł język w ustach.
- Już od kilku miesięcy.
- Od kilku miesięcy? – zdziwił się major. – Może wobec tego to ty wolisz się ze mną nie widzieć?
- Wiedziałem, że tak powiesz. Oczywiście, czujesz się urażony, że nie zadzwoniłem wcześniej.
- No cóż...
- Przestań, to nie ma sensu. Wszystko ci wytłumaczę.

Tylko nie przez telefon. Więc jak, wybierzemy się gdzieś na kolację?

– Z przyjemnością – zgodził się Pleśniewicz. – Jaki termin proponujesz?

– Dzisiaj to niemożliwe. Ale gdybyś zechciał jutro...

– Jutro z kolei ja nie mogę.

– Och, to fatalnie – zmartwił się Palewski. – Hm, hm – przez chwilę słychać było pomrukiwania. – No, dobrze, wobec tego dzisiaj – zdecydował się nagle. – Odpowiada ci to?

– Dziękuję. Oczywiście.

– Ja zapraszam – ucieszył się Palewski. – Może do „Budapesztu”? To przyzwoita restauracja.

* * *

– A więc to w tym celu mnie odszukałeś? – W głosie Pleśniewicza wyczuwało się zawód.

– Nie. – Palewski wyraźnie się speszył. – Posłuchaj, Karolu to niezupełnie tak.

– Niepotrzebnie się tłumaczysz, nie czuję się urażony,

– Wcale się nie tłumaczę – Palewski zaciągnął się dymem – po prostu chcę ci wyjaśnić... – Urwał i wziął do ręki kieliszek. – Może wypijemy?

– Chętnie. Zatem raz jeszcze twoje zdrowie.

– O nie, tym razem po stokroć twoje.

Wypili.

Przygasły światła. Z kąta przy bufecie ozwały się dźwięki cymbałów. Skrzypek w czerwonej kamizelce poprawił instrument pod brodą i ze spokojem zaczął obracać w palcach

smyczek, ściągając nań spojrzenia zebranych na sali gości, wreszcie uniósł go do góry i uderzył nim w instrument z impetem. Popłynęła zawodząca, cygańska melodia, Palewski otarł usta serwetką.

– Więc to było niezupełnie tak, jak myślisz – powiedział, podając Pleśniewiczowi papierosa.

– Dziękuję.

– Po prostu obawiałem się, że ty możesz nie życzyć sobie kontaktów ze mną.

– A dlaczegoż by to?

– Czy ja wiem... Myślałem, że może to być dla ciebie niewygodne. Zresztą powiedzmy, sobie szczerze, że zaraz po przyjeździe miałem nikłe pojęcie o tutejszych stosunkach. Orientujesz się chyba, w jakim świetle przedstawia to wszystko tamtejsza prasa? Zrozum, że wtedy, w parę dni po przybyciu do Warszawy, nie mogłem mieć jeszcze na ten temat wyrobionego własnego zdania.

– Ciągłe nie rozumiem, jakiego rodzaju powody miałeś na, myśli. Chyba nie masz niczego na sumieniu?

Palewski spojrział mu badawczo w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

Pleśniewicz nie odpowiedział. Był nieco zaskoczony tą reakcją.

– Czyżbyś ty... – Palewski urwał, jakby nie był pewny czy powinien zadać cisnące mu się na usta pytanie. – Czy ty słyszałeś coś na mój temat przed tym spotkaniem w „Bristolu”?

– Nie. Dlaczego?

– A przedtem, gdy byłem jeszcze w Stanach?

– Nie, nic szczególnego.

– To znaczy co?

– Nie, no właściwie nic.

– Powiedz mi, Karolu; ale powiedz mi zupełnie szczerze, czy nasze spotkanie ma charakter zupełnie prywatny?

Pleśniewicz uśmiechnął się.

– Przecież przyszedłem wyłącznie na twoje zaproszenie.

– No, tak, oczywiście. Ale wiesz przecież, że nie o to mi chodzi. Miałem na myśli twoją obecność tam, w „Bristolu”. Czy ty nie starałeś się spotkać mnie na przykład? Czy twoja obecność tam była wyłącznie dziełem przypadku?

Pleśniewicz uśmiechnął się powtórnie.

– Ulegasz chyba jakiejś psychozie – powiedział spokojnie. – Jak mogłem starać się spotkać cię, skoro w ogóle nie

wiedziałem, że jesteś w Warszawie?

– A nie wiedziałeś?

– Słuchaj, jeśli nie masz do mnie zaufania, to wydaje mi się, że nasze spotkanie zupełnie nie ma sensu. Porozmawiajmy o sporcie i rozejdźmy się, każdy w swoją stronę. Poza tym nie wiem, czy orientujesz się, że jestem już na emeryturze?

– Przepraszam, Karolu. Naprawdę nie chciałem cię urazić, ale musisz zrozumieć, że jestem w sytuacji dosyć szczególnej. A teraz jeszcze ta historia.

– Postaram ci się pomóc, oczywiście na tyle, na ile to będzie możliwe.

– No, tak – Palewski stropił się. – Nie chciałbym jednak, abyś myślał, że wyłącznie dlatego do ciebie zadzwoniłem.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie ma.

– No więc nie będę tak myślał. Załóżmy, że wierzę w to, co mi powiedziałeś. Mogłeś istotnie obawiać się, że przyjmę cię bez entuzjazmu. Ale à propos, skąd dowiedziałeś się, że pracowałem w milicji?

– To był zupełny przypadek. Tego wieczora, kiedy wiedziałem cię w „Bristolu”, to znaczy wczoraj... Tak, było to przecież wczoraj... poszedłem później na przyjęcie i tam, poruszony tym niespodziewanym spotkaniem, a jeszcze do tego niepewny, czy to naprawdę byłeś ty, wymieniałem w rozmowie z kimś twoje nazwisko. Wyobraź sobie, że ta osoba, z którą rozmawiałem, znała cię. To ona powiedziała mi, jak cię odnaleźć i że zajmujesz się czy też zajmowałeś kryminalistyką.

– No, no, cóż za zbieg okoliczności.

– Widzę, że teraz ty z kolei mi nie ufasz. Zresztą może masz rację. Właściwie dlaczego miałbyś mi ufać? Na pewno zadajesz sobie pytanie, po co ja tu w ogóle przyjechałem, skąd wzięłem majątek i tak dalej.

– Czyżbyś był aż tak bogaty? – zainteresował się major.

– Owszem. Powiodło mi się w życiu, nie mogę się uskarżać. Wiesz, jak to jest, wystarczy zacząć.

- Ach tak! Czyżby tego właśnie dotyczył ten list?
- Nie, właśnie nie. Gdyby chodziło o pieniądze, nie zdziwiłbym się tak bardzo.
- A nie masz go przy sobie?
- Nie – zaprzeczył Palewski. – Ale wpadniesz chyba do mnie któregoś dnia? Mam nadzieję, że nie za dużo zajmuję ci czasu?
- Nie o to chodzi. Mam go, jak się domyślasz, wiele. Natomiast sprawa, o której mówiłeś, wymaga raczej szybkiego działania.
- Och, nie traktuję tego aż tak znowu poważnie.
- A jednak postanowiłeś z kimś porozmawiać.
- Owszem.
- Otóż to właśnie.
- Trudno. Nie mam go przy sobie. Zresztą i tak chciałem, żebyś zobaczył, jak mieszkam. A na razie mówmy już o czym innym.
- Na długo przyjechałeś?
- Na zawsze.
- Na zawsze? – Pleśniewicz nie ukrywał zdumienia. – Co cię do tego skłoniło?
- Czy ja wiem? – Palewski zamyślił się. – To nie tak łatwo powiedzieć. – Chciał chyba jeszcze coś dodać, otworzył nawet usta, ale po chwili zamknął je bezgłośnie.

Pleśniewicz przyglądał się jego twarzy, Palewski patrzył w okno i zdawał się być zupełnie nieobecny. Muzyka nagłe umilkła.

Palewski otworzył drzwi i przepuścił Pleśniewicza przodem. W holu panował półmrok, mimo to major dostrzegł, że drzwi umieszczone naprzeciwko wejściowych uchyliły się na moment i mignęła w nich czyjaś twarz. Być może to zaciekawienie Pleśniewicza tym dyskretnym manewrem albo szmer towarzyszący owym manipulacjom

sprawiły, – że wzrok gospodarza również pobiegł w tamtym kierunku. Drzwi otworzyły się szerzej.

– Ach, pan profesor nie jest sam... – W progu pokoju ukazał się wysoki szczupły chłopak.

– To mój sekretarz, pan Podkowiński, student politechniki. Pomaga mi porządkować papiery – Palewski zwrócił się do majora – a to pan Pleśniewicz – rzucił w kierunku chłopca. – Niech pan sobie wyobrazi, panie Bronku, że my z tym panem znamy się jeszcze sprzed wojny.

– Doprawdy? Widzę, że zanosi się na wspomnienia. – Chłopak uśmiechnął się. – Nie będę wobec tego panom przeszkadzał. I tak zresztą muszę już jechać. Papiery, o które pan mnie prosił, leżą na biurku.

Weszli do gabinetu. Trzy ściany tego przestronnego pokoju zabudowane były półkami, na których stały rzędami różnej-
zyczne książki. W głębi tkwiło masywne biurko, zaś obok niego niebieski, pluszowy fotel z wysokim oparciem.

– Usiądź sobie – powiedział Palewski, wskazując fotel. – Zaraz ci to pokażę. – Zapalił lampę na biurku i zgasił górne światło. Następnie wydobył z kieszeni marynarki kluczykiem otworzył jedną z szuflad biurka i wyjął z niej złożony we czworo papier. – Proszę, oto on – powiedział wręczając go Pleśniewiczowi. – Obejrzyj go sobie.

Pleśniewicz przysunął kartkę do lampy. Był to arkusz papieru listowego. Pośrodku widniało tylko jedno zdanie:

Teraz, kiedy już jesteś, śmierć cię nie ominie.

11 marca 1937 roku.

– No... co o tym sądzisz? – zapytał po chwili milczenia Palewski.

– Prawdę mówiąc, nic nie rozumiem. Kiedy to otrzymałeś?

– Mniej więcej tydzień temu... Tak, nie więcej niż tydzień. – Czy zachowałeś kopertę?

– Zaraz poszukam. Nie wyrzuciłem jej chyba. – Palewski

sięgnął raz jeszcze do szuflady i wyciągnął z niej wymiętą, niebieską kopertę.

– To chyba ta.

Major ujął kopertę w palce i spojrzął na stempel. Pieczęć była nieco rozmazana, nie na tyle jednak, by nie można było stwierdzić, że list wysłano z Warszawy. Wyjął z kieszeni lupę i z jej pomocą odcyfrował numer urzędu pocztowego.

– Jeżeli się nie mylę, wysłana była z poczty przy ulicy Ordynackiej. To nam oczywiście niewiele daje. No, ale czy nie domyślasz się, kto mógł być nadawcą tego listu?

– Nie mam pojęcia – Palewski wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że to jakiś niesmaczny dowcip.

– Hm... Ale co wobec tego oznacza ta data? 11 marca 1937 roku... Którego ty wyjechałeś z Polski?

– Myślałem już o tym – uśmiechnął się Palewski. – Ale nic z tego. Warszawę opuściłem 10 marca. 12 marca wsiałem na „Batorego”. W Nowym Jorku natomiast byliśmy 27 marca. Żadna z tych przełomowych dla mego życia dat tu nie pasuje. 11 marca 1937 roku byłem w Gdyni i spędziłem ten dzień w towarzystwie znajomych. O ile sobie przypominam, nic szczególnego nie zaszło.

– Sądząc po czcionce, list prawdopodobnie napisano na biurowej optimie – powiedział major, przyglądając się kartce. – Jest mało prawdopodobne, choć trudno zupełnie to wykluczyć, aby ktoś trzymał taką maszynę w domu. Należy raczej przypuszczać, że list został napisany w jakimś biurze. A może ty masz tu jakąś maszynę?

– O tym też pomyślałem – odezwał się Palewski. – Ale to wykluczone. Mam maszynę z klawiaturą angielską, gdyż polska nie jest mi na razie potrzebna. A w tym zdaniu masz „ś” i „ć”.

– Data wskazywałaby, że chodzi o jakąś sprawę sprzed wojny – powiedział major. – Oczywiście przy założeniu, że cała ta historia nie jest mistyfikacją. Czy twój przyjazd był zauważony przez naszą prasę? Chodzi mi o to, czy ktoś z twoich przedwojennych znajomych, z którymi nie miałeś od tam-

tych czasów kontaktu, mógł dowiedzieć się o twym przybyciu?

– Tak. Express Wieczorny zamieścił małą notkę. Proszono mnie także o wywiad dla telewizji. Nie chciałem rozgłaszać wiadomości o swym przyjeździe, ale uważałem, że nie byłoby ładnie, gdybym odmówił.

– Rozumiem. Słowem, taka możliwość istnieje. Czy pomyślałeś o konkretnej osobie, kiedy otrzymałeś ten list?

– Sprzed wojny?

– Tak. Chodzi rai o to, czy miałeś w tamtych czasach wroga albo może naraziłeś się komuś?

Palewski roześmiał się.

– Ja wrogów? Znałeś mnie przecież wtedy, zawsze starałem się żyć ze wszystkimi jak najlepiej.

– W ostatnim okresie przed twoim wyjazdem nie widywaliśmy się już tak często.

– Tak czy inaczej, taka hipoteza wydaje mi się zupełnie absurdalna. Ale co mi radzisz?

– Cóż ja ci mogę poradzić? Zbyt mało mamy elementów, aby odnaleźć nadawcę tego listu.

– Wiem o tym – przerwał mu Palewski – i nie tego dotyczy moje pytanie. Chciałem cię po prostu zapytać, czy powinienem zawiadomić milicję. Widzisz, ja nie bardzo orientuję się, jak to wszystko tu, w kraju, funkcjonuje. Jestem już od kilku miesimy, ale leszcze nie zdążyłem się połapać w wielu sprawach.

– No cóż, postaram się pomóc ci Poproszę któregoś z moich byłych współpracowników, aby zajął się tą sprawą. Nie możesz jednak obiecywać sobie zbyt dużo. Trudno coś zdziałać, gdy się ma tak niewiele. Gdyby przyszło ci coś do głowy, wiesz, jakie przypuszczenie na temat ewentualnego autora otrzymanego listu, zadzwoń. Telefon mój znasz. A tu... – Pleśniewicz wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały, czarny notes i wyrwawszy zeń kartkę, wyraźnym pismem zanotował sześcicyfrowy numer.

Rozległo się pukanie.

– Proszę – powiedział Palewski.

W drzwiach ukazała się twarz starszej kobiety.

– A, to pani. Myślałem, że już pani poszła.

– Przygotowałam kolację. Jeżeli panowie głodni, to nakryję do stołu.

– Zaraz przyjdziemy. Dziękuję pani – odpowiedział Palewski. Gdy kobieta wyszła, zwrócił się gościa: – To Popielowa, moja gospodyni Prawdziwy skarb. Nie wiem, jak dałbym sobie bez niej radę.

– Proszę – Pleśniewicz podał Palewskiemu kartkę z numerem. – Tam zawsze ktoś ci pomoże. Zresztą jak tylko przekażę komuś tę sprawę, zaraz do ciebie zadzwonię i poinformuję cię co i jak.

– No to chodźmy. Proszę.

– Kawę wypijemy w gabinecie – powiedział Palewski do Popielowej, kiedy skończyli już jeść.

– Pan profesor to zawsze tak mało je – narzekła kobieta, zbierając ze stołu naczynia. – Do czego to podobne? Taki przystojny mężczyzna...

Pleśniewicz uśmiechnął się, widząc, jak Palewski, lekko zawstydzony, marszczy brwi.

– Nawet kotleta pan profesor do końca nie zjadł! I na co ja się wysiłam...

– Kobiety zawsze o ciebie dbały – rzucił Pleśniewicz, kiedy Popielowa zniknęła ze stertą talerzy w holu.

Palewski wzruszył ramionami.

– Chodź, pokażę ci zdjęcia – powiedział....

Przeszli do gabinetu.

– To moja żona i córka. – Palewski wręczył majorowi kolorową fotografię.

– Ach, więc ożeniłeś się? – zdziwił się major. – Zawsze mi się zdawało, że nie dasz się żadnej schwytać.

– Tak, ożeniłem się. – odpowiedział Palewski i dodał po chwili milczenia: – Zmarła na raka w 1958 roku. To jej ostatnie zdjęcie. Córka miała wtedy dziesięć lat.

Chuda dziewczynka o szczupłej, pociągłej twarzy patrzyła prosto w obiektyw. Smutne, podkrążone oczy jej matki spoglądały gdzieś w przestrzeń, jak gdyby dostrzegały zbliżającą się śmierć. – A co robi córka? – zapytał Pleśniewicz, aby zmienić temat.

– Skończyła historię sztuki i wykłada obecnie w Instytucie Studiów Teatralnych.

– Nie wybiera się do Polski?

– Mówi po polsku bardzo dobrze, ale wiesz, jej życie związane jest już z tamtym krajem, tam ma przyjaciół i właściwie wszystko. Ja to co innego. W przyszłym roku przyjdzie mnie odwiedzić.

Gospodyni wniosła tacę, na której stały dwie filiżanki i dzbanuszek z dymiącą kawą.

– To ja już pójdę – powiedziała.

– Dobranoc, pani Popielowa – Palewski odprowadził ją do drzwi.

* * *

– Dzień dobry, mówi Pleśniewicz. Czy mógłby się pan ze mną spotkać, poruczniku?

– Tak, oczywiście. Z przyjemnością, panie majorze – powiedział porucznik Różycki. – Czy to coś pilnego?

– Owszem. A szczerze mówiąc, to nawet bardzo.

– Możemy wobec tego zobaczyć się zaraz.

– Znakomicie...

– Może w „Bristolu”? Żeby nie musiał pan daleko chodzić...

Godzinę później Pleśniewicz oczekiwał przy kawiarnianym stoliku na swego byłego współpracownika, który po ukończeniu szkoły oficerskiej właśnie pod jego, majora Pleśniewicza, okiem przechodził praktyczną naukę zawodu.

– Strasznie przepraszam. Czyżbym się spóźnił? – powiedział porucznik Różycki podchodząc do stolika.

– Ależ nie. To raczej ja przyszedłem za wcześnie.

Pleśniewicz pokrótce przedstawił Różyckiemu sprawę. Przekazał mu także list.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan sam zajął się tą sprawą. Palewski przed wojną był moim serdecznym przyjacielem...

– Chętnie, ale sam pan wie najlepiej, że to nie tylko ode mnie zależy. W każdym razie zrobię, co będę mógł. Niestety, odnalezienie autora takiego anonimu dość często jest po prostu niemożliwe. Zbyt mało danych.

– Sam to Palewskiemu mówiłem – powiedział Pleśniewicz. – Chodzi jednak również o co innego. Palewski jest znanym i cenionym naukowcem. Do kraju wrócił niedawno po wieloletniej emigracji. W tej sytuacji wydaje mi się, że warto podjąć wszelkie możliwe środki, aby wykluczyć niebezpieczeństwo.

– Zrobię, co będzie w mojej mocy.

Jeszcze tego samego popołudnia porucznik Różycki udał się do willi Palewskiego, umówiwszy się z nim uprzednio telefonicznie. Palewski niewiele miał do dodania. Różycki nie spodziewał się zresztą nowych informacji. Chodziło mu raczej o zbadanie miejsca i poznanie człowieka. Od początku zresztą był przekonany o bezcelowości wszystkich standardowych zabiegów. Koperta i list zostały poddane dokładnym badaniom i oględzinom, ale i to nie dało konkretnych rezultatów. Ślad był zbyt nikły.

* * *

Około wpół do dziesiątej wieczorem w mieszkaniu Pleśniewicza zadzwonił telefon.

– Mówi Bronisław Podkowiński, sekretarz profesora Palewskiego. Czy mogę mówić z panem Pleśniewiczem?

– Słucham. Jestem przy telefonie.

– Profesor Palewski miał zanotowany numer pana telefo-

nu, pomyślałem więc, że najprościej będzie zadzwonić właśnie do pana. Pan profesor nie żyje.

W pierwszej chwili Pleśniewicz nie zrozumiał. Podkowiński mówił tak szybko, że wiadomość zawarta w jego ostatnim zdaniu, aczkolwiek została przez majora dosłyszana, niezupełnie do niego dotarła. Od jego wizyty u Palewskiego minęło już kilka dni. Przez ten czas niejednokrotnie zastanawiał się nad tajemniczym listem, który profesor mu wtedy pokazał, ale wewnętrznie był przekonany, że chodzi raczej o niesmaczny żart niż o coś poważnego.

– Czy chce pan powiedzieć, że został zamordowany? – zapytał.

– Tak. Chyba tak. – Podkowiński mówił w sposób nieskładny. W słuchawce cały czas dawał się słyszeć jego przyspieszony oddech. – Przyszedłem przed chwilą do domu i znalazłem go martwego na podłodze.

– Niech pan na mnie zaczeka – przerwał mu Pleśniewicz – zaraz tam przyjeżdżam. I oczywiście proszę niczego nie ruszać.

Kiedy Podkowiński odłożył słuchawkę, major wykręcił numer telefonu Różyckiego.

– Pleśniewicz... Tak, major Pleśniewicz. Czy zastałem porucznika Różyckiego? – zapytał.

– Jest... zaraz go poproszę. – Usłyszał stuk odkładanej słuchawki, a po krótkiej ciszy rozległ się głos Różyckiego:

– Słucham, porucznik Różycki.

– Mówi Pleśniewicz. Niestety, stało się.

– Co takiego?

– Palewskiego zamordowano. W jego mieszkaniu, w Radości. Mam nadzieję; że pan zajmie się tą sprawą. Oczywiście, ponieważ znałem zamordowanego, będę panu w miarę możliwości służył pomocą.

– Dziękuję bardzo. Chętnie skorzystam. Może nawet zaraz. Jeśli pan pozwoli, majorze, to wstąpię po pana i razem pojedziemy do mieszkania Palewskiego.

Pleśniewicz, skończywszy rozmowę, założył buty i usiadł w fotelu, oczekując na przyjazd porucznika. Dopiero teraz miał czas naprawdę zastanowić się nad tym, co się stało. Oto rozwiała się nadzieja, którą od paru dni żywił, i odeszła osoba, którą – tak mu się po pierwszym spotkaniu wydało – mógłby znowu uważać za bliską. Kiedy już po przewyciężeniu pierwotnego skrępowania siedzieli razem w gabinecie Palewskiego, popijając aromatyczną kawę, czuł, że odnajduje tę więź, która łączyła go z Palewskim w latach szkolnych, więź wynikającą z podobnego spojrzenia na świat. Wróciłeś, aby zginąć – pomyślał o przyjacielu i wstrząsnął nim dreszcz. W pokoju panował chłód. Podeszedł do okna. Kaloryfery były prawie chłodne.

Z zadumy wyrwał go dzwonek. Otworzył drzwi.

– Proszę, niech pan wejdzie – powiedział do stojącego w progu porucznika.

– Pobrudzę panu podłogę. – Najmłodszy pracownik Wydziału Zabójstw swoją grzecznością i ujmującym sposobem bycia zaskarbiał sobie sympatię wszystkich.

– Od tygodnia nie sprzątałe – powiedział major. – Moim podłogom nic już nie zaszkodzi. Zresztą jestem gotów.

Deszcz lal się z nieba strumieniami. Za zasłoną wody światła latarni rozmywały się, tworząc na tle granatowego nieba miękkie, żółte plamy. Porucznik wskazał głową białego fiata, który stał zaparkowany nieco wyżej, w pobliżu „Bristolu”. Siedzący za kierownicą sierżant Pawłowski otworzył majorowi drzwi. Mieli już ruszać, gdy do stojącej przed nimi alfa romeo podbiegli od strony hotelu dwaj mężczyźni z uniesionymi nad głowami marynarkami. Pokrzykiwali coś głośno po włosku. Fiat wytoczył się powoli ze swego miejsca i ruszył w górę, ku położonej wyżej jezdni Krakowskiego Przedmieścia. Czerwona alfa romeo, która odjechała przed nimi, zatrzymała się gwałtownie przed głównym wejściem do hotelu. Kierowca zatrąbił. Z drzwi wybiegła owinięta w jasny wyszywany kożuch blondynka i wsiadła do samochodu. Pawłowski wyminął Włochów i skręcił w lewo. Jezdnia była tak śliska, że samo-

chody z trudem hamowały przed światłami. Mijając róg Nowego Światu i Świętokrzyskiej ujrzeli dwa rozbite samochody, radiowóz i niewielki tłumek gapiów. Porucznik rzucił na ten temat jakąś uwagę, ale Pleśniewicz nie odpowiedział. Przez całą drogę siedział pogrążony w niewesołych myślach. Milczał również i sierżant. Dopiero kiedy wjechali do Radości, Pleśniewicz Zapytał porucznika, czy pamięta, w którym miejscu powinni skręcić. Różycki skinął głową. Po chwili zatrzymali się przed bramą willi profesora.

Ten stary przedwojenny budynek wyglądał teraz wyjątkowo ponuro. Jego płaska rozległa bryła ze stylizowanym frontonem pośrodku zaledwie była widoczna w słabym blasku nielicznych latarni, stojących przy głównej szosie. W oknie gabinetu widoczne było słabe światełko, przyćmione jeszcze zaciągniętą do połowy grubą, falującą na wietrze zasłoną. Okno było otwarte. Weszli na teren ogrodu i ścieżką dotarli do domu. Pleśniewicz nacisnął guzik dzwonka. Niemal natychmiast drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich głowa Podkowińskiego. Chłopak przez chwilę wpatrywał się w ciemność, najwyraźniej nie mogąc rozróżnić stojących przed nim ludzi. Wreszcie rozpoznał Pleśniewicza i szerzej otworzył drzwi.

– Proszę, niech panowie wejdą. Takie ciemności, że nie mogłem dojrzeć, kto dzwoni. – Podkowiński był bardzo blady. Poruszał się nerwowo, tak jakby nie bardzo wiedział, co począć ze swoją osobą. – To tutaj. – Wskazał im drzwi do gabinetu, gdy znaleźli się już w holu.

Różycki wszedł pierwszy.

Pośrodku, na olbrzymim dywanie leżało ciało profesora. Na plecach, mniej więcej na wysokości serca, widniał ciemny, wyraźny ślad.

Podeszli bliżej i pochylili się nad zwłokami. Jasna flanela marynarki rozcięta była tylko w jednym miejscu. Otaczał ją niewielki krążek zakrzepłej krwi.

– Pozycja ciała wskazuje, że musiał stać tyłem do okna i chyba został zaskoczony. – Porucznik odszedł kilka kroków

od miejsca tragedii.

– Tak... Chyba ma pan rację, poruczniku. – Pleśniewicz rozglądał się dokoła. – Nic nie wskazuje, aby odbyła się tu jakakolwiek walka. Proszę, niech pan spojrzy, wszystko w idealnym porządku. Prawdopodobnie nie miał nawet czasu na podjęcie obrony. To okno...

– Przyszedłem dzisiaj o tej porze, ponieważ... – zaczął nieśmiało Podkowiński.

Różycki odwrócił się. Sekretarz Palewskiego stał w drzwiach.

– Zaraz, może trochę później – powiedział porucznik. – Teraz chcielibyśmy jeszcze obejrzeć inne pokoje. Może pozwoli pan z nami – zwrócił się do Podkowińskiego.

Weszli po schodach na górę. Na pierwszym piętrze znajdowała się tylko sypialnia profesora i niewielka łazienka. Pozostałą powierzchnię zajmował rozległy taras, przylegający, do pomieszczeń mieszkalnych od strony południowej. Całe umeblowanie pokoju sypialnego stanowiło staromodne łóżko, pokryte jasnobeżową kapą, stary rzeźbiony fotel z wysokim oparciem, stojąca obok niego lampa, niewielki stolik nocny oraz szafa na ubrania. W szufladzie stolika oprócz paru drobiazgów Różycki zauważył gruby brulion. Wziął go do ręki, przerzucił kartki i stwierdziwszy, że jest prawie do połowy zapisany, zabrał go ze sobą. Zszedłszy na dół, schował go do teczki.

W salonie światło było zepsute, więc Różycki zrezygnował chwilowo z dokładniejszych oględzin. Pamiętał zresztą ten pokój ze swoich poprzednich odwiedzin. Kilka niebieskich pluszowych foteli, identycznych jak ten w gabinecie, nadawało temu pomieszczeniu styl amerykańskich wnętrz z wczesnych lat pięćdziesiątych. Ustawione wokół niskiego okrągłego stołu, zajmowały ponad połowę pokoju. Z boku znajdowała się komoda i niezwyklej urody stolik. O ile można było zorientować się w słabym świetle przenikającym z gabinetu i tu wszystko zdawało się pozostawać w idealnym porządku. Jadalnia i pokój biblioteczny także wyglądały normalnie. W tym

ostatnim leżało na stole co prawda kilka rozłożonych książek, ale w mieszkaniu naukowca nie było to rzeczą niezwykłą. Obszerna kuchnia lśniła czystością. Na stole znalazł kartkę zapisaną niezręcznym, jak gdyby dziecięcym pismem: „Kola-cja przygotowana w lodówce”.

Różycki powrócił do gabinetu. Gdy wchodził, Podkowiński spojrział na niego pytająco.

– Zadzwoń do komendy – porucznik zwrócił się do sierżanta – i zapytaj, czy wysłali już ekipę dochodzeniowo-operacyjną. Jeżeli nie, powiedz dyżurnemu, aby przysłał tu sierżanta Kolczyka. A pan zechce przejść do jadalni – zwrócił się do Podkowińskiego – w salonie nie pali się światło.

– Tak, zepsuło się wczoraj, a ja miałem dzisiaj bardzo zajęty dzień i nie załatwiłem naprawy. Prawdę mówiąc, wypadło mi to z głowy – usłużnie wyjaśnił chłopak.

– Tak... Zechce więc pan, jak powiedziałem, przejść do jadalni i tam zaczekać razem z panem majorem Pleśniewiczem. My z sierżantem, gdy tylko skończy on rozmowę z Warszawą, obejrzymy jeszcze dom z zewnątrz.

– Właśnie skończyłem. – W progu łączącym salon z holem stał sierżant Pawłowski. – Zdążyłem w ostatniej chwili. Dodzwoniłem się, gdy już mieli ruszać. Kolczyk oczywiście przyjedzie z nimi.

Wokół domu panowały prawie zupełne ciemności – lampa nad drzwiami wejściowymi również nie funkcjonowała, a światło dochodzące od szosy przesłaniały otaczające dom sosny. Świecili więc latarkami, uważnie przyglądając się najbliższemu otoczeniu willi. Niestety, z trzech jej stron biegł dwumetrowej szerokości pas betonowy, teraz idealnie zmyty padającym od wielu godzin deszczem. Nie tylko śladów czyjejs bytności, ale nawet źdźbła trawy lub słomy czy choćby ziaren piasku nie udało im się dostrzec. Tak było wokół trzech ścian budynku. Zgoła inaczej wyglądał front. Tu aż pod samo okno podchodził pas przekopanej chyba niedawno ziemi. Na nim, tuż przy otwartym oknie gabinetu, znaleźli wyraźnie

odciśnięty ślad buta. Wysunięty w tym miejscu do przodu taras pierwszego piętra ochronił go przed deszczem.

– Skocz i przynieś coś do zabezpieczenia tego miejsca. Może w kuchni znajdziesz jakąś plastikową torbę albo gdzieś na wieszaku stary płaszcz nieprzemakalny. – Porucznik, wydawszy to polecenie Pawłowskiemu, szedł dalej wzdłuż frontowej ściany budynku i bacznie badał każdy skrawek ziemi.

Ślad pod oknem gabinetu był jedynym, jaki udało im się na zewnątrz willi odkryć. Toteż nie przedłużając ponad potrzebę swojej obecności na deszczu, wrócili do domu. Różycki, zostawiwszy sierżanta przy telefonie w holu, sam przeszedł do jadalni.

– Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to było: kiedy pan przyszedł, co zastał, jak zareagował. Jednym słowem, wszystko, co panu wiadomo o tym, co się tu stało – zwrócił się porucznik do Podkowińskiego, gdy siedli już naprzeciwko siebie.

– Profesor Palewski zwolnił mnie dzisiaj wcześniej. – Podkowiński wpatrywał się w rozłożoną na stole serwetę i tylko od czasu do czasu spoglądał na porucznika. Był wyraźnie przejęty. – Musiałem pojechać do miasta na konsultację w sprawie mojej pracy magisterskiej. Później przypomniałem sobie, że zostawiłem tutaj książkę, z której miałem przygotować się do jutrzejszego egzaminu, więc postanowiłem wrócić do Radości. I wróciłem.

– Czy ma pan klucz od domu?

– Tak. Profesor Palewski dał mi go, ponieważ często się zdarzało, że przychodziłem tu pracować, kiedy nikogo nie było. Pan profesor dość często wyjeżdżał i pozostawiał mi wtedy pewne prace do wykonania. A pani Popielowa nie zawsze jest w domu.

– Pani Popielowa też, jak przypuszczam, ma klucze od domu?

– Tak.

– Czy istnieje jeszcze ktoś, komu profesor powierzył klucze?

– Nie jestem pewien – Podkowiński lekko się zmieszał – ale zdaje się, że ma je także pani Bibi Kowalczyk.

– Któż to jest pani Bibi Kowalczyk? – zainteresował się porucznik.

– Z zawodu jest aktorką. Pan profesor poznał ją wkrótce po swoim powrocie do Polski. Od tego czasu, jakby to nazwać...

– Chce pan powiedzieć, że profesora wiązało z nią coś bliższego?

– Tak. Chyba tak...

– Pan ją oczywiście zna osobiście?

– O tak. Pani Kowalczyk przychodzi tutaj bardzo często. Właśnie dlatego wydaje mi się, że ona także ma klucze. Odnoszę jednak wrażenie, że pan profesor dał jej te klucze niedawno.

– Czy to znaczy, że umiałby pan określić, od kiedy mniej więcej pani Kowalczyk je ma?

– Tak. Trochę głupio mi o tym mówić. Któregoś wieczora, gdy tutaj pracowałem, słyszałem dochodzącą z drugiego pokoju kłótnię pani Kowalczyk z profesorem. Nie lubię podsłuchiwać, ale rozmawiali bardzo głośno. Dowiedziałem się wtedy niechcący, że chodziło właśnie o te klucze.

– Czy mam rozumieć, że w czasie tej kłótni pani Kowalczyk domagała się, aby profesor dał jej klucze?

– Chyba tak.

– I jaki był ostateczny rezultat tych nalegań?

– Nie słyszałem, na czym stanęło, ale w parę dni później zauważyłem, że pani Kowalczyk sama otwierała sobie drzwi.

– Czy orientuje się pan, jak panią Kowalczyk można odnaleźć?

– To proste, jej adres i telefon zanotowane są w spisie telefonów, który leży u pana profesora na biurku. Poza tym ona pracuje w Teatrze Miniatur.

– Więc mówi pan, że dziś wieczorem wrócił pan po tę książkę? Jak przypuszczam, nikt nie spodziewał się tej wizyty?

– Nie. Telefonowałem wprawdzie z mieszkania profesora Orzechowskiego, kiedy przypominałem sobie o książce, ale pana profesora Palewskiego nie było w domu.

– A więc ta pana konsultacja odbywała się w mieszkaniu prywatnym?

– Tak. Profesor Orzechowski poprosił mnie do siebie, ponieważ na uczelni nie miał czasu.

– Gdzie to jest?

– Na Krakowskim Przedmieściu.

– O której pan tutaj dzwonił?

– Czy ja wiem... Chyba koło ósmej. Ale dokładnie nie umiałbym powiedzieć.

– Tak więc po skończonej konsultacji wszedł pan do autobusu i przyjechał tutaj? Czy może pamięta pan, o której to było? – zapytał Różycki.

Podkowiński zmarszczył brwi.

– Od profesora Orzechowskiego wyszedłem chyba gdzieś koło dziewiątej, ale kiedy dokładnie, nie wiem. Potem dojechałem autobusem 111 do Alej Jerozolimskich. Tam przesiadłem się do pospiesznego. Gdy dotarłem tutaj, zauważyłem, że w gabinecie pali się lampka. Okno było otwarte. Pomyślałem, że profesor jest w domu i nacisnąłem dzwonek, żeby uprzedzić go o swoim przybyciu. Pan profesor co prawda nie spodziewał się dzisiaj gości...

– Chce pan powiedzieć, że nie spodziewał się pani Kowalczyk? – wtrącił Różycki.

– Tak. To znaczy w tym sensie, że ona najczęściej tutaj bywa. – Chłopak zająknął się i lekko zaczerwienił. – No więc – kontynuował po chwili milczenia – zadzwoniłem. Chciałem w ten sposób uprzedzić o swoim nadejściu. Nikt jednak do drzwi nie podszedł, więc wyjąłem klucze i otworzyłem. W całym domu panowała grobowa cisza. Wydało mi się dziwne, że pan profesor nie reaguje na moje wejście. Zapukałem do drzwi gabinetu, żeby powiedzieć mu dobry wieczór. I tym razem nie odpowiedział. Wszedłem więc... no, a dalej sam pan

już wie...

– Czy ciało było w takiej samej pozycji jak teraz?

– Tak. Niczego nie ruszałem. Zadzwoiłem tylko do pana Pleśniewicza i nadałem przez telefon depezę do córki pana profesora.

– Nadał pan depezę? – Porucznik był wyraźnie zaskoczony.

– Tak. Pomyślałem, że należy zawiadomić ją o tym jak najprędzej. Może przecież zechcieć przyjechać na pogrzeb. A zanim telegram dotrze do Ameryki, upłynie trochę czasu.

– Tak. Postąpił pan właściwie bardzo rozsądnie – zgodził się Różycki. – No, a skąd znał pan numer telefonu majora Pleśniewicza?

– Następnego dnia po tym, jak pan Pleśniewicz tu u nas był, pan profesor powiedział mi, że zna pana majora jeszcze ze szkoły, no i że pan Pleśniewicz pracował w milicji. Pokazał mi też, gdzie jest zanotowany numer, i powiedział, abym w razie jakiegoś wypadku zwrócił się właśnie do niego. Pan profesor pokazywał panu na pewno list z pogrózkami, jaki otrzymał parę dni wcześniej? – zwrócił się z pytaniem do Pleśniewicza.

– Tak, znam treść tego listu.

– A na czym właściwie polegały pana obowiązki jako sekretarza? – zapytał Różycki.

– Chodziło głównie o przepisywanie na maszynie. Często pan profesor dawał mi także do czytania różne publikacje naukowe, które potrzebne mu były do jego prac z zakresu metodologii nauk. Potem referowałem mu je w skrócie i on sam osądzał, czy warte są przeczytania przez niego czy też nie. Miał tyle rzeczy do czytania, że nie mógł po prostu z tym nadążyć. Niemal codziennie listonosz przynosił stopy różnych naukowych periodyków nadchodzących ze wszystkich stron świata.

– No tak. A jak doszło do tego, że został pan sekretarzem pana profesora?

– Moja narzeczona, będąc w Stanach, poznała córkę profesora Palewskiego. Pan profesor przygotowywał wtedy akurat swój wyjazd do Polski i szukał kogoś, kto odpowiadałby stawianym przez niego wymaganiom. Jego córka zapytała moją narzeczoną, czy nie zna kogoś z dobrą znajomością języka angielskiego i z jakimś przygotowaniem naukowym. Narzeczona wskazała mnie. Po maturze nie dostałem się od razu na studia i przez rok byłem w Anglii, gdzie zarabiałem między innymi przepisywaniem na maszynie. Angielskiego uczyłem się zresztą przedtem przez wiele lat. Po przyjeździe pan profesor zatelefonował do mnie, zaprosił mnie tutaj i po sprawdzeniu moich możliwości przyjął do pracy.

– No, a jak wyglądała pana praca tutaj? – zapytał Różycki. – Czy przyjeżdżał pan do Radości codziennie?

– Nie. Początkowo próbowaliśmy ustalić stałe godziny, ale okazało się to bardzo niewygodne, ponieważ w moim planie zajęć często zachodzą zmiany. Potem pan profesor doszedł do wniosku, że można sprawę uprościć. Dawał mi co pewien czas zlecenia do wykonania, a już wyłącznie moją sprawą było znalezienie na to czasu.

– I wtedy właśnie otrzymał pan klucz?

– Tak.

– Czy pana narzeczona wróciła do kraju?

– Tak. Ale w zeszłym miesiącu pojechała tam znowu.

– Rozumiem. – Porucznik wpatrywał się w Podkowińskiego. Chłopak podniósł na niego oczy, oczekując dalszych pytań. Wyglądał na bardzo nieśmiałego. – A więc – Różycki powrócił do pierwszego tematu rozmowy – zanim pojechał pan na konsultację, widział się pan z Palewskim?

– Tak. Przyszedłem tutaj o drugiej, zaraz po zajęciach, i zabrałem się do przepisywania referatu, który pan profesor miał wygłosić na zjeździe metodologów nauk w Genewie. Pan profesor był cały czas w domu i pisał coś w gabinecie. Powiedziałem mu o konsultacji. Nakrzyczał na mnie, kiedy dowiedział się, że jutro mam egzamin. Uważał, że w tej sytuacji

zamiast siedzieć tu przy maszynie powinienem wziąć się do nauki. Wiedziałem jednak, że zależało mu na tym, aby referat został przepisany możliwie szybko. Zjazd miał się odbyć co prawda w połowie grudnia, ale tekst należało przesłać znacznie wcześniej. Przed piątą pożegnałem się z panem profesorem i pojechałem do Warszawy.

- Czy profesor mówił coś o swoich planach na wieczór?
- Nie. Nie mówił, że zamierza wyjść.

W tym momencie w gabinecie zadzwonił telefon. Różycki poderwał się, ale zaraz usiadł i powrotem.

– Niech pan odbierze – zwrócił się do Podkowińskiego. – Jeżeli poproszą Palewskiego, odda mi pan słuchawkę.

Podkowiński i Różycki przeszli do gabinetu. Porucznik skinął na sierżanta.

– Idź do samochodu i połącz się z komendą. Niech sprawdzą, skąd dzwonią.

– Słucham – powiedział Podkowiński, podejmując słuchawkę. – Chwileczką... Proszę poczekać. – Przekazał słuchawkę Różyckiemu.

Porucznik kilka chwil milczał, potem zdecydowanym głosem zapytał:

- Słucham, kto mówi?
- Chciałam mówić z profesorem Palewskim. Pan przecież nie jest profesorem – usłyszał kobiecy głos.
- Chwileczkę – Różycki grał na zwłokę. – Proszę mi powiedzieć, w jakiej sprawie pani dzwoni.
- W osobistej. Chcę mówić z samym panem profesorem.
- A kogo mam zapowiedzieć?
- Proszę pana, to nieważne. Pan profesor podejdzie nawet wówczas, gdy nie powie mu pan, kto dzwoni. A może profesora nie ma w domu?
- Ależ owszem, jest tylko w tej chwili... Gdyby zechciała pani jeszcze parę sekund zaczekać... lub powiedzieć, co mam przekazać...
- Czy pan zechce wreszcie zawiadomić profesora, że

ktoś dzwoni, czy też...

– Nie rozumiem, dlaczego się pani tak denerwuje – perorował Różycki. – Profesor nie może teraz podejść, ale gdyby pani zechciała powiedzieć, o co chodzi, mógłbym...

– Mówiłam już, że nie muszę się panu przedstawiać.

Porucznik dostrzegł nadchodzącego właśnie sierżanta.

– Niestety, proszę pani, profesor Palewski nie żyje. Może teraz zechce się pani przedstawić?

W odpowiedzi usłyszał stuk, jaki towarzyszy zazwyczaj odkładanej słuchawce. Wrócił do jadalni, dokąd kilka sekund wcześniej przeszli Pleśniewicz i Podkowiński.

– Czy znany był panu ten głos? – Różycki zwrócił się do Podkowińskiego.

– Nie. Chyba nigdy go nie słyszałem.

– A czy to nie była przypadkiem pani Kowalczyk?

– O nie. Na pewno nie. Pani Kowalczyk ma głos bardzo charakterystyczny. Ją poznałbym na pewno. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – zapewnił chłopak i gwałtownie odwrócił głowę w kierunku okna.

Koło ogrodzenia, tuż przy furtce, błysnęły światła i zgrzytnęły hamulce samochodu.

– No to mamy naszą ekipę operacyjno-dochodzeniową. – Porucznik przeszedł do holu, gdzie po chwili wydawał już odpowiednie dyspozycje nowo przybyłym funkcjonariuszom i lekarzowi.

Miał już ponownie wejść do jadalni, gdy spostrzegł leżący na małym stoliku podręcznik fizyki. Wziął książkę do ręki i stanął w progu jadalni.

– To po tę książkę pan wrócił? – zapytał Podkowińskiego.

– Tak. Położyłem ją tam, aby znowu nie zapomnieć.

– A więc wyszedł pan około piątej – porucznik wrócił do rozmowy przerywanej w momencie przyjazdu ekipy technicznej. – Czy w domu oprócz profesora był ktoś jeszcze?

– Tak. Pani Popielowa. Przychodzi tu codziennie, naj-

pierw rano, a później drugi raz o pierwszej. Przygotowuje profesorowi obiad, potem sprząta albo pierze. Wychodzi zwykle około siódmej wieczorem.

– Czy orientuje się pan, gdzie pani Popielowa mieszka?
– Dokładnego adresu nie znam, ale wiem, że to tu gdzieś niedaleko.

– Powiedział mi pan, że rozmawiał z profesorem na temat tego listu z pogroźkami. Czy profesor Palewski miał jakieś przypuszczenia dotyczące tej sprawy?

– Nie. Właściwie był zupełnie zdezorientowany. Podejrzewał, że to jakiś dowcip, ale nie wiedział, kto mógłby być jego autorem.

– A pan?

– Czy ja mógłbym taki dowcip zrobić? – Podkowiński wyraźnie się speszył.

– Nie – Różycki uśmiechnął się – nie o to mi chodzi. Pytam, czy miał pan na ten temat jakieś przypuszczenia.

– Nie. Spośród znajomych pana profesora, z którymi miałem przyjemność się zetknąć, nikt nie wydaje mi się zdolny do czegoś takiego. Natomiast sądzę, że warto by było zajrzeć do dziennika pana profesora. Może to by coś wyjaśniło.

– Dlaczego nie nakłonił pan do tego Palewskiego?

– Przyszło mi to do głowy dopiero wczoraj. Jadąc autobusem, zastanawiałem się, co może oznaczać ta tajemnicza data. Miałem zamiar powiedzieć panu profesorowi, żeby zajrzał do dziennika, bo być może w nim znajdzie jakąś wskazówkę. Niestety, dzisiejszy dzień spędziłem w takim pośpiechu, że zupełnie o tej sprawie zapomniałem. Przypuszczam zresztą, że profesor Palewski sam już wcześniej na to wpadł.

– A gdzie znajduje się ten dziennik?

– Aktualny profesor trzymał u siebie na górze. To ten brulion, który pan porucznik znalazł w szufladzie stolika, w sypialni profesora. A stare roczniki znajdują się w bibliotece, w szufladzie zamkniętej na klucz.

– To skąd pan o istnieniu dziennika wiedział?

– Profesor opowiadał mi kiedyś wieczorem o swoich pierwszych latach w Stanach Zjednoczonych. Nie mógł sobie czegoś przypomnieć i powiedział, że sprawdzi w dzienniku. Spostrzegłem zresztą już wcześniej, że każdego wieczora zapisuje, co się zdarzyło w ciągu dnia. Ale o tym, że prowadził dziennik bez przerwy od dzieciństwa i że jego stare roczniki schowane są w bibliotece, dowiedziałem się dopiero wtedy.

– Może pan będzie łaskaw wskazać mi tę szufladę. – Różycki wstał z fotela.

Przeszli do biblioteki. Podkowiński schylił się i wskazał dolną szufladę w jednej z szaf. Była zamknięta.

– Wie pan może, gdzie znajduje się klucz? – zapytał porucznik.

– Nie mam pojęcia.

– No, a wtedy, gdy pan Palewski otwierał ją w pana obecności, skąd go wziął? Nie pamięta pan?

– Nie. Kiedy przyszlismy do biblioteki, miał już klucz w ręce. Nie zwróciłem uwagi, skąd go wyjął.

– To dziękuję panu tymczasem

Różycki przeszedł do gabinetu, gdzie zastał lekarza, szefa grupy operacyjno-dochodzeniowej i sierżanta Kolczyka.

– Co może mi pan powiedzieć, doktorze?

– Niewiele. Powodem śmierci był prawdopodobnie cios zadany ostrym narzędziem w plecy. Mówię prawdopodobnie, bo autorytatywnie będę mógł się wypowiedzieć dopiero po przeprowadzeniu sekcji. Rana nic jest rozległa, wprost przeciwnie. Powiedziałbym nawet – zadziwiająco mała. Mogło ją spowodować narzędzie bardzo wąskie i niezwykle ostre. Śmierć nastąpiła natychmiast. Czas? Około dwudziestej pierwszej. Z dodaniem po kwadransie w obie strony, Reszta jutro.

– Dziękuję panu, To mi na razie wystarczy. – Porucznik zawahał się. – Choć... niezupełnie... Jak pan sądzi, czy cios ten mogła zadać kobieta?

– Jeżeli bardzo silna, wysportowana... Ale pan wie, po-

ruczniku, kobiety raczej rzadko uciekają się do noża czy sztyletu.

– Tak, oczywiście. Interesowała mnie po prostu ewentualność czy też, jak pan woli, prawdopodobieństwo dokonania tego czynu przez kobietę.

– Jak powiedziałem, owszem, mogłaby zrobić to również kobieta. Choć z psychologicznego punktu widzenia mi się to prawdopodobne. Niech Pan nie zapomina, że cios został zadany w plecy, i to w momencie, gdy ofiara raczej nie spodziewała się ataku – wyraz twarzy denata znamionuje całkowity spokój. Brak w niej odbicia jakiegokolwiek zaskoczenia. Kobieta chwytła za nóż pod wpływem silnego impulsu, w chwili zdenerwowania, podczas awantury, nie czai się z nim i nie zabija zniemacka. Chyba że jest psychopatką... – Doktor urwał. – No, ale dość teorii, wzywa mnie praktyka. – Odwrócił się w stronę holu. – Zabieramy ciało, panowie. Nic tu już po nas.

Różycki usiadł obok kierownika grupy operacyjno-dochodzeniowej, porucznika Leszczyńskiego.

– Mamy coś ciekawego?

– Boję się, że nie. Panuje idealny porządek, w gabinecie brak jakichkolwiek odcisków. Parapet otwartego okna, jego ramy i klamka starannie zostały wytarte. Teraz chłopcy przeszli do innych pomieszczeń. Potrwa to trochę – dom jest duży. Jutro rano przekażę panu szczegółowe wyniki naszej działalności.

– Interesują mnie drobiazgi znalezione przy Palewskim. Miał przy sobie jakieś klucze? Może notes?

– To wszystko. – Leszczyński podał Różyckiemu dużą szarą kopertę.

Było tego niewiele: małeńki scyzoryk, chusteczka do nosa, zapałki, portfel. W portfelu zdjęcie, siedemset złotych, kilka wizytówek Palewskiego.

– Niewiele tego. Ciekawe, czyje to zdjęcie... – odwrócił się w stronę sierżanta Kolczyka: – Poproście majora Pleśnie-

wicza.

– Coś interesującego? – zapytał Pleśniewicz, stając w progu.

– Denat miał przy sobie to zdjęcie. Czy może wie pan, majorze, kogo ono przedstawia?

Pleśniewicz podszedł do biurka i wziął do ręki fotografię.

– Owszem. Palewski pokazywał mi je. Jest na nim nieżyjąca już dziś żona profesora i jego córka. – Pleśniewicz oddał zdjęcie Różyckiemu.

Porucznik starannie wsunął fotografię z powrotem do portfela.

– Co pan sądzi, majorze, o zeznaniu Podkowińskiego? Myślę o tym fragmencie na temat pamiętników Palewskiego.

– Bez zajrzenia do nich niewiele chyba możemy powiedzieć.

– Sierżancie – Różycki odwrócił się do Kolczyka – bądźcie tak dobrzy i znajdźcie mi klucze od szaf bibliotecznych. W jednej z szuflad znajdują się prawdopodobnie dzienniki profesora Palewskiego. Nikt nie powinien do nich zaglądać, gdyż są one dla nas ważnym materiałem. Zostaniecie tu więc na noc i jak tamci z ekipy skończą swoją robotę, postaracie się odnaleźć te klucze. Interesuje mnie również korespondencja, jakieś notatki, zdjęcia. Jutro rano przyjdzie tu prawdopodobnie gosposia. Nazywa się Popielowa. Zatrzymacie ją pod jakimś pretekstem. My z Pawłowskim powinniśmy przyjechać tu koło dziesiątej... – Przerwał, gdyż do gabinetu wszedł właśnie sierżant Pawłowski i podał mu kartkę.

– Mam meldunek z komendy. Dali mi numer telefonu, z którego tu dzwoniło. Zanotowałem również adres.

– Jedziemy – rzucił Różycki i przeszedł do biblioteki. – Możemy pana podrzucić do Warszawy – zwrócił się do Podkowińskiego. – Zechce mi pan zanotować na kartce swoje imię, nazwisko, adres i ewentualnie telefon. Proszę też zawiadomić mnie o dniu i godzinie przyjazdu panny Betsy Palewskiej. Domyślam się, że spodziewa się pan odpowiedzi na

swój telegram?

– Tak, oczywiście, tak. – Podkowiński zapisał swoje dane i podał kartkę porucznikowi.

Różycki wszedł jeszcze na chwilę do gabinetu, by zamienić parę słów z lekarzem. Gdy wrócił do holu, Pleśniewicza i Podkowińskiego już tam nie było – wyszli do samochodu. Zakładając płaszcz, spostrzegł podręcznik fizyki nadal leżący na stoliku koło wieszaka. Zabrał go ze sobą.

– Po raz drugi zapomniał pan swojej książki – powiedział do Podkowińskiego, wsiadając do samochodu.

Chłopak poruszył się nerwowo.

– Ach, prawda! W tym całym zamieszaniu... – zająknął się i przerwał.

Różycki usiadł z przodu, obok kierowcy, i pomyślał, że będzie musiał sprawdzić, jak właściwie wygląda sprawa egzaminu młodego sekretarza.

Sierżant Pawłowski wrzucił bieg i samochód ruszył. Deszcz już nie padał, ale jezdnia była jeszcze ciągle mokra. Światła reflektorów odbijały się w jej lśniącej powierzchni. Szosa prawie już całkiem opustoszała, tylko od czasu do czasu mijali jakiś pojazd, zdążający z Warszawy ku peryferiom miasta. Gdy dotarli do Grochowa, ostatnie tramwaje opuszczały pętlę przy Wiatracznej. W Alei Waszyngtona nawet jeden samochód nie błysnął światłami. Równie pusto było na moście Poniatowskiego. Na kilkanaście sekund zatrzymali się przy Nowym Świecie, tu bowiem zarówno major, jak Podkowiński rozstali się z porucznikiem i sierżantem Pawłowskim, którzy po krótkim pożegnaniu z wysiadającymi ruszyli dalej Alejami Jerozolimskimi.

Dom pod numerem 124 był nieco odsunięty od ulicy. Stara przedwojenna kamienica stała na pustkowiu, jakby w pewnym oddaleniu od innych domów. Wejście na klatkę znajdowało się od strony podwórka. Sierżant i porucznik Różycki obeszlą dom dookoła i weszli na stare drewniane schody. Na klatce nie było światła, porucznik wyciągnął z kieszeni latarkę i oświetlał nią

numery mijanych mieszkań.

– To tu – powiedział, gdy dotarli na czwarte piętro.

Zza drzwi dochodziła muzyka. Różycki nacisnął dzwonek. Muzyka natychmiast ucichła i dały się słyszeć skradające się kroki. Nikt jednak nie otwierał. Różycki zadzwonił jeszcze raz. Kroki zbliżyły się, usłyszeli chrobot przekręcanego klucza i w drzwiach ukazała się twarz młodej kobiety.

– Pani Izydora Dąbska? – zapytał porucznik.

– Nie. Pani Dąbskiej nie ma w domu.

– A kiedy będzie?

– Pani Dąbska wyjechała – powiedziała kobieta poprawiając szlafrok. – Wróci dopiero za kilka miesięcy.

Różycki wyciągnął służbową legitymację, otworzył ją i pokazał pobladłej nagle kobiecie.

– Jesteśmy z milicji – powiedział.

Zrobiła dwa kroki do tyłu. Wydawała się szukać oparcia.

– Chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów.

– Proszę – powiedziała z wahaniem. – Proszę wejść. – Ponownie podeszła do drzwi i otworzyła je szerzej.

W progu pokoju ukazał się mężczyzna w porozpinanej koszuli.

– A o co chodzi? – zapytał tubalnym głosem, zagradzając ciałem drzwi.

– Proszę, panowie wejdą – powtórzyła kobieta. – Pano-
wie są z milicji – wyjaśniła swojemu towarzyszowi.

Mężczyzna usunął się z drogi. W rogu pokoju stało rozbebeszone łóżko, obok popielniczka, po brzegi wypełniona niedopałkami, i ustawiona na podłodze z jasnych desek adapter. Leżał tam też stos niedbale rzuconych płyt Lampa z czerwonym abażurem oświetlała pokój miękkim, przyćmionym światłem.

– Czy jest u państwa telefon? – zapytał porucznik.

– Tak – powiedział mężczyzna.

– Nie – jednocześnie zaprzeczyła kobieta.

– No więc jak – jest czy nie ma?

- Jest – potwierdzili oboje.
- A gdzie się znajduje? – Różycki rozglądał się dookoła w poszukiwaniu aparatu.
- W drugim pokoju. – Kobieta, podtrzymując poły szlafroka, podeszła do drzwi, otworzyła je i wskazała ręką stolik, na którym stał telefon.
- Różycki wszedł za nią do przyległego pokoiku i nachylił się nad białym aparatem.
- Od kiedy zna pani profesora Palewskiego? – zapytał.
- To pomyłka. Nigdy nie znałam tego pana. – Odpowiedź była pośpieszna i towarzyszyło jej niespokojne spojrzenie, rzucone w kierunku uchylonych drzwi
- Hm... – Różycki przypatrywał się swojej rozmówczyni uważnie – Czy chce pani przez to powiedzieć, że nawet samo to nazwisko jest pani obce?
- Tak. Nigdy dotychczas jeszcze z nim się nie spotkałam.
- Czy państwo mieszkają tutaj na stałe? – Różycki wrócił do pierwszego pokoju.
- Wynajęłam to mieszkanie na parę miesięcy.
- A pan? – zwrócił się do mężczyzny.
- A o co chodzi? – odparł zaczepnie zapytany.
- Ten pan jest moim gościem – wyjaśniła kobieta. – Ja wynajmuję to mieszkanie od pani Dąbskiej, która wyjechała i na czas swojej nieobecności zgodziła się mi je odstąpić.
- Czy mógłbym poprosić państwa o dokumenty?
- Proszę bardzo Zaraz przyniosę. – Kobieta, mówiąc to, zniknęła w przedpokoju. Wróciła po chwili z dowodem osobistym w wyciągniętej ręce.
- Mężczyzna nawet się nie ruszył.
- Łucja Stasiak, urodzona 17 lipca 1947 roku – odczytał Różycki. – A pan? – zwrócił się do mężczyzny.
- Ja nic nie zrobiłem. Czego pan ode mnie chce? – warknął opryskliwie mężczyzna.
- A dlaczego uważa pan, że ja o coś pana oskarżam? – Różycki nie podniósł głosu nawet o pół tonu. – Prowadzę do-

chodzenie w sprawie morderstwa. Godzinę temu z telefonu znajdującego się w tym mieszkaniu ktoś dzwonił do domu zamordowanego. Tymczasem pani Stasiak twierdzi, że osoby tej nie zna. Czy oprócz państwa był tu ktoś godzinę temu?

– Nie.

– To jakaś pomyłka – wtrąciła się kobieta. – Przez cały wieczór do nikogo nie dzwoniłam.

– Jest pani tego pewna?

– Tak. Najzupełniej.

– Może pan będzie łaskaw okazać mi dowód. Chodzi o zwykłą formalność.

Mężczyzna niechętnie sięgnął do kieszeni.

– Zenon Bielecki... – Porucznik wyjął notes i zanotował w nim nazwiska oraz adresy zarówno Łucji Stasiak, jak i Zenona Bieleckiego. – Dziękuję państwu. Dobranoc i przepraszam za wizytę o tak późnej porze.

– Ja naprawdę do nikogo nie dzwoniłam. – Tym zapewnieniem i spłoszonym spojrzeniem pożegnała Różyckiego w przedpokoju gospodyni. – Proszę mi wierzyć...

* * *

– No i co sądzisz o tej sprawie? – rzucił na powitanie Różyckiemu nazajutrz rano sierżant Pawłowski.

– Hm, Trudno cokolwiek powiedzieć. Na konkrety trochę za wcześnie. Niemniej jednak wydaje mi się, że powinniśmy uporządkować sobie to, czego dotychczas się dowiedzieliśmy... – Różycki urwał, ponieważ w drzwiach ukazał się lekarz.

– Można na chwileczkę? – zapytał.

– Właśnie na pana czekamy – Różycki wskazał mu krzesło przy biurku.

– To bardzo ciekawa sprawa, panie poruczniku – powiedział doktor Lewicki, poprawiając okrągłe okulary, które ciężko zsuwały mu się z nosa. – Śmierć nastąpiła, jak już to panu wczoraj powiedziałem, między godziną dwudziestą czterdzie-

ści pięć a dwudziestą pierwszą piętnaście. Ofiarę zabito nożem lub jakimś ostrym narzędziem przypominającym nóż. Nie byłoby w tym oczywiście nic osobliwego, gdyby nie pewna okoliczność. Otóż rzecz w tym, że cios zadany został pod kątem prostym, czyli inaczej mówiąc, narzędzie w momencie wprowadzenia go w ciało było prostopadłe do pleców denata. Jak panu zapewne wiadomo, atakujący nożem w przeważającej części wypadków wbijają go od góry albo od dołu, z tym że ta druga możliwość zdarza się raczej tylko przy ciosach w brzuch. Natomiast cios dokładnie prostopadły jest w normalnych warunkach niemalże niemożliwy, chyba że osoba trzymająca nóż specjalnie będzie się o to starać, co oczywiście jest przypuszczeniem bezsensownym, zważywszy na okoliczności zadania ciosu. Trudno sobie wyobrazić, że zupełnie przytomny człowiek – a zamordowany w chwili otrzymania ciosu był przytomny – pozwoliłby mordercy na przymierzanie się do takiego a nie innego ustawienia narzędzia zbrodni. Ja przynajmniej w swojej dwudziestoletniej praktyce nigdy się z takim wypadkiem nie spotkałem.

– Co by pan w takim razie sugerował? – zapytał porucznik.

– No cóż, kąt taki byłby możliwy, gdyby ostrze zostało wystrzelone z pewnej odległości przy pomocy jakiegoś – dajmy na to – sprężynowego urządzenia. Ale temu z kolei przeczą inne dane. Pewne znamiona rany wskazują raczej na to, że cios został zadany z bliska. Co do tego nie można mieć wprawdzie całkowitej pewności, ale tak właśnie ta rana wygląda.

– A czy dopuszczalna jest wobec tego taka wersja – porucznik zwrócił się do lekarza – że owo narzędzie zostało wystrzelone z bliska?

– W takim przypadku kąt dokładnie prosty jest oczywiście możliwy, ale mało prawdopodobny. No bo jakież mogłoby to być urządzenie? Rana zresztą każe myśleć raczej o pchnięciu niż wystrzeleniu narzędzia. Myślę, że nasi technicy

z zakładu kryminalistyki będą mogli to panu dokładniej przedstawić.

– Hm – Różycki zamyślił się – rzeczywiście dziwne.

Doktor podniósł się i położył na biurku Różyckiego szarą kopertę.

– Zostawiam panu szczegółowy protokół autopsji.

Gdy za lekarzem zamknęły się drzwi, porucznik sięgnął po słuchawkę i poprosił do siebie szefa grupy technicznej, która wczoraj była w Radości. Po chwili zjawił się porucznik Leszczyński.

– No i co pan ciekawego znalazł? – zapytał Różycki.

– Rabunku nie stwierdzono. Kasa pancerna, zawierająca około tysiąca dolarów w banknotach i kilkanaście tysięcy złotych, nienaruszona. W domu znaleźliśmy odciski palców ofiary i pana Podkowińskiego oraz jeszcze paru osób. Na klamce otwartego okna w gabinecie żadnych śladów nie stwierdzono. Musiała ona być wycierana, inaczej byłyby na niej odciski palców osoby, która okno otwierała, a więc prawdopodobnie Palewskiego. Zabezpieczyliśmy także znaleziony przez pana ślad pod oknem. Dzięki wystającemu dachowi willi był bardzo wyraźny. Człowiek, który go pozostawił, chyba za bardzo liczył na deszcz. Jest to dość charakterystyczny ślad. Mam jego gipsowy odlew. Osoba, która go pozostawiła, musiała mieć na nogach tak zwane pionierki. Numer siedem i pół. Na parapecie okiennym wyraźnych śladów nie było. Zostały usunięte. Znaleźliśmy na nim jednak okruchy ziemi. Wskazywałyby one, że ktoś mógł wchodzić przez to okno. Powiem nawet więcej – innego wytłumaczenia nie widzę. W całej willi nie ma ani jednej doniczki z kwiatami. Zresztą drobiny zanieczyszczeń na parapecie zawierają źdźbła roślin z ogrodu otaczającego willę.

– Czy wśród papierów pozostawionych przez Palewskiego znaleźliście coś ciekawego? Mam na myśli jakieś listy prywatne, notesy z osobistymi zapiskami, zdjęcia...

– Niczego takiego, oprócz pamiętników oczywiście.

Wszystko przejrzeliliśmy dokładnie. Bez rezultatu. Klucz, który pana interesował, zostawiliśmy Kolczykowi.

- Czy może mi pan jeszcze podać numer nogi denata?
- Osiem i pół.
- A więc pozostawiony pod oknem ślad należał do kogoś innego. Niewykluczone, że do mordercy. Trzeba sprawdzić, kto z otoczenia Palewskiego nosi buty numer siedem i pół.

Przed dziewiątą Różycki zatelefonował do Teatru Miniatur. Dowiedział się, że pani Kowalczyk ma być na próbie dopiero o dziesiątej. Sekretarka, która odebrała telefon, nie chciała podać numeru domowego telefonu aktorki.

- Numer jest zastrzeżony, proszę pana – mówiła – a poza tym pani Kowalczyk o tej porze jeszcze śpi.
- Jestem z milicji – przedstawił się Różycki.
- Każdy może powiedzieć, że jest z milicji. Gdybym wszystkim podawała numer, pani Kowalczyk ani przez chwilę nie miałaby spokoju.

Różycki postanowił skończyć rozmowę. Dalsza dyskusja nie miała najmniejszego sensu. Numer mógł odnaleźć w inny sposób, ale sprawa nie była właściwie taka pilna. Rozmowę z aktorką można było przeprowadzić później. Należało natomiast jak najszybciej jechać do Radości. Rozejrzeć się przy dziennym świetle po domu, otaczającym go ogrodzie, odnaleźć gosposię Palewskiego, porozmawiać z nią, no a przede wszystkim zajrzeć do dzienników profesora.

– No i co ty na to? – Różycki spojrzał pytająco na Pawłowskiego. – Coraz więcej tajemnic.

– Istotnie. Wydaje mi się jednak, że te nowe tajemnice są jakimś śladem. Wygląda, jakby komuś, mam tu oczywiście na uwadze mordercę, zależało na owianiu okoliczności towarzyszących zbrodni właśnie ową tajemniczością. List z pogroźkami i datą sprzed lat, niezwykle sposób wprowadzenia narzędzia zbrodni do ciała ofiary...

– Tak, ja też mam to wrażenie. Ale potrzebne nam fakty, nie wrażenia. Proponuję, abyśmy udali się teraz do Radości. Trzeba też zwolnić Kolczyka i porozmawiać z gospożą Pałewskiego.

Ruch na ulicach o tej porze był duży, z trudem przepychali się między sznurami samochodów toczących się powolutku Alejami Jerozolimskimi w kierunku mostu. Słońce świeciło, ale temperatura była niska. Szyby samochodu co chwila pokrywały się mgłą. Kiedy dotarli do Radości, było już po wpół do dziesiątej.

– No jak tam, sierżancie – zapytał Różycki Kolczyka na powitanie – nie mieliście żadnych wizyt?

– Żadnych nieprzewidzianych, panie poruczniku. O dziesiątej przyszła tylko gospożia. Czeka na pana w jadalni. Znalazły się też klucze. Były w biurku. Proszę – sierżant podał Różyckiemu kółko z kilkoma niedużymi kluczami. – Listów nie znalazłem. Nie ma też żadnych zdjęć. Tylko te pamiętniki. Aha, jest jeszcze trochę notatek. Są w szufladzie obok tej z pamiętnikami. Ale to nie są osobiste zapiski.

– Dziękuję. Możecie wracać do Warszawy i wypaść się. Na razie nie będziecie mi potrzebni. Zaprowadźcie mnie tylko jeszcze do pani Popielowej.

Weszli do jadalni.

Na odsuniętym od stołu krześle siedziała ubrana w palto starsza kobieta. Patrzyła przed siebie nic nie widzącym, otępiałym wzrokiem. Musiała jednak złowić uchem drobny szelest, gdy mijali drzwi z holu do jadalni, bo drgnęła i nerwowym ruchem przyłożyła trzymaną dotąd w dłoni chustkę do zapłakanej twarzy.

– Boże, co za nieszczęście! Taki dobry człowiek. Co on komu zrobił, że go tak okrutnie zabili? Przecież on muchy by nawet nie skrzywdził. Mój Boże, co to teraz za ludzie po tym świecie chodzą.

– To prawda – zgodził się porucznik. – Widzę, że sierżant powiedział już pani, co się stało. Liczymy że pomoże

nam pani w odnalezieniu mordercy.

– A co to jemu, nieboraczkowi, teraz pomoże... – W oczach Popielowej ukazały się nowe łzy. – Jego to już nie wskrzesi. A taki zacy był człowiek.

– Może się pani rozbierze – powiedział Różycki. Kobieta, nie mogąc widać pogodzić się z tym, co zaszło, nadal siedziała i cicho popłakiwała.

– Pani zdejmie palto, pani Popielowa. – Sierżant Kolczyk podszedł do kobiety i wykonał ruch, jakby chciał jej pomóc

– Już, już... sama sobie palto w kuchni odwieszę – powiedziała i rozwiązując chustkę wyszła.

Sierżant porozumiewawczo skrzywił się do porucznika. Różycki rozłożył ręce.

– Trzeba ją zrozumieć – powiedział. – Zdaje się, że była bardzo do Palewskiego przywiązana.

– Mój Boże, nawet kolacji nie zjadł – doszedł ich głos Popielowej z kuchni – a taką dobrą sałatkę zrobiłam.

– Słuchaj, zrób herbaty, może jak się czegoś napije, to się trochę uspokoi – Różycki pchnął lekko Pawłowskiego w stronę kuchni.

– Ja zrobię – rozległ się po chwili głos Popielowej.

Sierżant bronił się cicho.

– Ale co też pan – krzyknęła znowu gospodyni – ja zrobię.

Różycki poszedł za nimi do kuchni. Popielowa, zajęta parzeniem herbaty, rzeczywiście trochę się uspokoiła.

– Mam do pani parę pytań – odezwał się Różycki, kiedy uznał, że można zaryzykować powrót do drażliwego tematu.

– Pytań? – zdziwiła się.

– Tak. Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci pana Palewskiego.

– A to pan jest z milicji? – zdziwiła się. – Bez munduru?

– Tak. Nie zawsze nosimy mundury.

– Aaa – Popielowa nie wiadomo dlaczego była wyraźnie zawiedziona. – To niech pan pyta. Jeżeli to tylko w czym po-

może.

– Na pewno pomoże. Czy może mi pani powiedzieć, o której wyszła pani wczoraj z domu?

– Przygotowałam panu profesorowi kolację, wstawiłam ją do lodówki, potem wytarłam jeszcze kurze w pokojach i poszłam.

– No, ale która mogła być wtedy godzina?

– Czy ja wiem... Jak zwykle... siódma, może trochę po siódmej.

– A pan profesor był wtedy w domu?

– A gdzie tam! – Popielowa zdawała się być zdziwiona tak nieprawdopodobnym przypuszczeniem.

– No, a o której pan profesor wyszedł?

– Oj, chyba więcej niż godzinę przedtem.

– A pani, wychodząc, zamknęła drzwi swoim kluczem?

– Ano. Jak zwykle.

– Pan profesor nie mówił, dokąd idzie?

– A gdzie on by mi się tam tłumaczył z tego, dokąd chodzi.

– A nie domyśla się pani?

– Domyślać to się domyślałam. Pewnie do tej swojej... Przecie gdzie indziej to on wieczorem nie chodził!

– To znaczy do pani Kowalczyk?

– Nie, prędzej już do tej drugiej. Pani Kowalczyk to o tej porze pracuje.

– Do jakiej drugiej?

– A czy ja to wiem? Ja jej tam nigdy na oczy nie widziałam.

– To skąd pani wie?

– A bo dzwoni tu często. Jak pana profesora nie było, odbierałam telefon, i stąd wiem.

– A pani Kowalczyk?

– Panią Kowalczyk to znam.

– Często tutaj przychodziła?

– Często. Nawet i za często.

- To znaczy?
- No przecież bez przerwy tu wisiała, nie dawała mu spokoju. Czy to kobiecie tak przystoi?
- A co to w ogóle jest za człowiek ta pani Kowalczyk?
- No przecież artystka. W teatrze pracuje czy gdzie...
- Wiem, ale co pani myśli o niej jako o człowieku?
- E, panie. Co tu dużo mówić... – Popielowa machnęła tylko ręką.
- Nie lubi jej pani?
- Mnie to tam ona ani ziębi, ani grzeje. Ale pan profesor to się z nią miał za swoje.
- A cóż ona mu takiego zrobiła?
- Dużo by mówić.
- To może pani nam to powie w paru słowach. To bardzo ważne.
- Bez przerwy tylko kłótnie i żądania. A to jej się nie podoba to, a to tamto. Raz to się tak z nim kłóciła, że potem przez tydzień nie odważyła się tu pokazać. „Ty stary dziadu” krzyczała do niego. Przyjechała tutaj zupełnie pijana. A ostatnio to w ogóle zażądała kluczy.
- I pan profesor jej dał?
- A dał. On by kobiecie wszystko dał. Taki już miał charakter. Byle kawałek tyłka zobaczył, od razu go nosiło jakieś lichy. Choć to już przecież nie najmłodszy człowiek. I wobec niej też był taki uległy. A poza tym w ogóle dobry, złoto nie człowiek. Przecież nawet w testamencie zrobił jej zapis.
- Skąd pani o tym wie?
- A słyszałam. Oni się tam mną nie krępowali. Zwłaszcza ona. Jak czasem gadała, to aż w kuchni było słychać.
- No, a ta druga?
- Ja tam jej nie znam. Ale to też wina pani Kowalczyk. Pan profesor kiedyś się na nią bardzo zdenerwował i pojechał późnym wieczorem gdzieś do miasta. I od tego czasu już często tak wychodził, a do pani Kowalczyk bardzo ostygł i już jej tak wszystkiego pod nos nie podtykał.

- Kiedy się to mniej więcej zdarzyło?
- Pewnie ze dwa tygodnie temu. Jeszcze przed świętym zmarłych.
- Pani Popielowa, a gdybym panią zapytał, kogo pani spośród znajomych pana profesora podejrzewa, to kogo by pani wskazała?
- A bo ja wiem? Kto jemu mógł źle życzyć?
- A pani Kowalczyk?
- Ja tam na nikogo nic złego nie chcę mówić, ale jeżeli już ktoś miał w tym interes, to najprędzej ona. Przecież ona będzie po nim dziedziczyć.
- Jak to? Pan profesor ma przecież córkę.
- Córka jest w Ameryce i niczego jej pewnie nie brakuje. Niech pan się nie boi, już ona dobrze się zabezpieczyła.
- Pani Kowalczyk?
- A kto by? Pewnie że ona.
- A pan Podkowiński?
- Że niby co?
- Co pani o nim sądzi?
- O nim? Przecież to jeszcze dziecko. Cichutki taki, bojaźliwy. Bardzo miły chłopaczek. Zawsze mnie pytał o zdrowie. Złego słowa nie mogłabym na niego powiedzieć.
- Pani Popielowa, niech mi pani powie, czy pan Palewski często siadywał w tym niebieskim fotelu, który stoi koło biurka w gabinecie?
- Codziennie. Pan profesor codziennie od dziewiątej do jedenastej wieczorem czytał i wtedy siadywał w tym właśnie fotelu. Pan profesor w ogóle był jak zegareczek. Wszystko robił o określonej godzinie. Wstawał codziennie o szóstej. Śniadanie, obiad, kolacja – zawsze o tej samej godzinie – i do książki siadał też zawsze o dziewiątej. Wiem, bo jak czasem zostawałam dłużej, kiedy było większe sprzątanie, to kazał sobie herbatę przynosić i do jedenastej z fotela nie wstawał. Chyba że wyjeżdżał do miasta...
- Dziękuję, pani. Może pani wracać do domu

– To ja jeszcze posprzątam.
– Gdzie? – zaniepokoił się porucznik.
– No, w gabinecie. Wszystko porozrzucane i kurze trzeba wytrzeć

– Przecież wczoraj pani wycierała.
– Ale na półkach nie. Tylko w jadalni i w holu. Gabinet zostawiłam na dzisiaj. Czy ja mogłam wiedzieć, że takie nie-szczęście się zdarzy?

– Na razie nie można sprzątać, pani Popielowa. Nie wolno niczego ruszać, dopóki nie skończy się śledztwo.

Gospodyni najwyraźniej nie mogła się z tym pogodzić, ale nic już nie powiedziała, tylko westchnęła i wyszła.

Kiedy zamknęły się drzwi za Popielową, Różycki wyjął z kieszeni pozostawione mu przez sierżanta Kolczyka kluczyki i przeszedł do biblioteki. Wybrał najbardziej jego zdaniem pasujący wielkością i kształtem do otworu szuflady i spróbował otworzyć. Zamek ustąpił.

Wśród starych zeszytów, prawie po brzegi wypełniających szufladę, wyszukał ten, który zawierał notatki z roku 1937. Pod datą 11 marca odnalazł następujący zapisek:

„Rano śniadanie w hotelu. Przekazałem bagaże na statek. Cały dzień z Grońskimi. Kolacja w Grand Hotelu. Pani Musia: Interesujące i pociągające wyznanie. Może szkoda, że wyjeżdżam jutro. Jej mąż patrzył na mnie bardzo krzywo”.

– Zobacz to. – Różycki wskazał zapisek Pawłowskiemu.
– To może być rzeczywiście interesujące... Chociaż...

Zadzwoił telefon. Porucznik przeszedł szybko do holu i podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry – usłyszał piskliwy głos kobiecy. – Czy mogę mówić z panem Różańskim?

– Różyckim. Jestem przy telefonie.

– A, to pan. Dzień dobry panu, mówi Kowalczyk. Właśnie dowiedziałam się od pana Podkowińskiego, co się stało.

– Aha – porucznik zagryzł wargi – pan Podkowiński do

pani dzwonił?

- Tak. Przed chwilą. Czy pan wie już, kto to zrobił?
- Tak – powiedział Różycki – domyślam się.
- Ach tak. Więc kto?
- Tego nie mogę pani, niestety, powiedzieć, natomiast chciałbym panią prosić o chwilę rozmowy. Próbowałem już rano dzwonić do teatru, ale tam poinformowano mnie, że pani śpi i nie należy jej przeszkadzać.
- Tak, wstaję późno. To prawda. Oczywiście jestem do pańskiej dyspozycji. Co prawda za piętnaście minut mam próbę w teatrze... Zaraz, jakby to zorganizować... A może przyjechałby pan po prostu do teatru?
- Na Foksal?
- Tak. Poprosi pan portierkę, żeby mnie wywołała. Uprzedzę ją o pana przyjeździe. Za piętnaście minut powinnam już być w teatrze.
- Dobrze, zaraz przyjadę.

Ulica Foksal była tak zapchana, że Pawłowski nie mógł znaleźć miejsca na zaparkowanie. Samochód toczył się powoli, co chwila zatrzymując się. Gdy wreszcie dotarli do jej końca, okazało się, że i tam, a nawet na dziedzińcu SARP-owskiego pałacyku wszystkie miejsca są zajęte. Zawrócili i skręcili w prawo. Przed kinem „Skarpa” sytuacja wcale nie przedstawiała się lepiej. Z baru „Kameralna” jakiś pijak wytoczył się na środek jezdni, prosto przed koła samochodu. Pawłowski zahamował.

– Taxi – wybełkotał pijak, – Muszę jechać do domu. – Jego ręka pojawiła się w oknie i pogłaskała sierżanta po głowie. Pawłowski nacisnął klakson. Pijak odskoczył. Ruszyli. Miejsce znaleźli dopiero na ulicy Okólnik, przed gmachem PWSM-u.

- Zaczekaj na mnie tu gdzieś – powiedział Różycki i ru-

szył w kierunku teatru.

Na niebie nie było ani jednej chmurki. Nisko zawieszona zimowe słońce wznosiło się powoli od strony Wisły. Po rannym przymrozku zrobiło się nieco cieplej. Ludzie rozpinali płaszcze i zdejmowali szaliki.

– Tak, wiem – powiedziała portierka w teatrze, kiedy Różycki zwrócił się do niej z pytaniem o aktorkę. – Pani Kowalczyk mnie uprzedziła, że pan przyjdzie. Proszę wejść. Tędy – wskazała wejście za kulisy.

Minał długi korytarz i wszedł na tył sceny. Było tu ciemno. Tylko gdzieś w kącie paliła się elektryczna żarówka. Próba już się zaczęła. Jakiś mężczyzna o grubym, zachrypniętym głosie mówił:

– Co się dzieje z twoimi nogami?

Drugi głos odpowiadał:

– Z moimi nogami?

– Tupiesz jak cały pułk dragonów.

– Powinienem był włożyć pantofelki!

– A w papuciach już ci było niewygodnie?

– Opuszczam cię!

– Nie!

Z widowni podniósł się jakiś mężczyzna i wskoczył na scenę.

– Zupełnie nie tak, stary – powiedział. – W tym głosie musi być nienawiść...

Porucznik wychylił głowę. Rozglądał się po sali, ale nie mógł nigdzie dostrzec choćby jednej kobiety.

– Pan do mnie? – odezwał się nagle jakiś głos tuż obok jego głowy.

Obejrzał się. Za kotarą ustawione były dwa pojemniki na śmieci. Z jednego wystawała głowa staruszki. Jej oczy przypały mu się pytająco. Pod grubą warstwą charakteryzacji Różycki z trudem rozpoznał twarz aktorki.

– Cóż... Nie wyglądam najmłodziej – uśmiechnęła się.

Rzeczywiście, umyślnie przesadna charakteryzacja posta-

rzała ją co najmniej o dobre trzydzieści lat.

– No, jedziemy dalej – reżyser zeskoczył ze sceny.

– Proszę mi pomóc – powiedziała Bibi Kowalczyk, wygrzebując się ze śmietnika.

Różycki podał jej rękę. Oparła się na niej i zeskoczyła lekko na ziemię. Podbiegła do reżysera i powiedziała mu coś przyciszonym głosem. Skinął głową. Następnie dał jakiś znak aktorom i z powrotem usiadł na widowni. Bibi Kowalczyk przeszła przez scenę i poprowadziła porucznika w stronę garderoby.

– A na cóż ja ci jestem przydatny? – dialog ze sceny nadal był jeszcze słyszalny.

– Na to, żeby mi dawać odpowiedzi... Posunęła się moja opowieść.

– Beckett? – zapytał Różycki, kiedy aktorka otwierała przed nimi drzwi swej garderoby.

– Tak. – Spojrzała na niego nieco zdziwiona. – Nie lubię go. Działa na mnie przygnębiająco. W dodatku zmuszają mnie, żebym grała rolę staruchy – domalowane zmarszczki gwałtownie się poruszyły – zupełnie mi to nie leży.

– Kiedy premiera? – zapytał Różycki

– Pojutrze.

– Przyjdę zobaczyć.

– Pan to lubi?

Różycki nie odpowiedział. Uczynił tylko ręką gest, który równie dobrze mógł oznaczać tak, jak i nic. Aktorka usiadła i zapaliła papierosa.

– Od jak dawna znała pani profesora Palewskiego? – zapytał Różycki.

– Poznałam go w marcu. Zaraz po tym, jak przyjechał do kraju. – Założyła nogę na nogę. – Aie dokładnej daty nie umiałabym panu podać... Pan pewnie mnie już podejrzewa?

– Dlaczego?

– To przecież pana zawód. Wszystkich musi pan podejrzewać.

– Właściwie ma pani rację. Kiedy widziała pani profesora po raz ostatni?

– Przedwczoraj.

– W Radości?

– Tak.

– Pani, zdaje się, miała klucze od domu pana profesora? Bibi Kowalczyk lekko uniosła brwi.

– Tak – potwierdziła. Długi wałek popiołu z papierosa złamał się i spadł jej na kolana. Spojrzała w tym kierunku i machnęła ręką. – Nieważne. Czy takiemu łachowi coś może w ogóle zaszkodzić? – powiedziała, wskazując palcem długą, płócienną i połataną miejscami koszulę, w którą była ubrana. – I na dodatek ta obrzydliwa peruka. – Uniosła rękę ku czołu i siwe pokręcone kudły oderwały się nagle od jej głowy i zjechały na kark. Spod nich wysypały się puszyste jasne pukle. Aktorka spojrzała w lustro i ręka poprawiła włosy. Perukę odłożyła na stojącą obok toaletkę.

– A wczoraj? Co robiła pani wczoraj między ósmą a dziesiątą wieczorem?

– Miałam przedstawienie w teatrze.

– O której ono się skończyło?

– Parę minut po dziewiątej.

– A co robiła pani potem?

– Wróciłam do domu.

– Gdzie pani mieszka?

– Przy Rynku Nowego Miasta.

– Sama?

– Z psem.

– To znaczy, iż nikt nie mógłby potwierdzić, że pani istotnie wróciła o tej porze do domu?

– Mówiłam, że będzie mnie pan podejrzewał.

– Na razie nie mam powodu. Czy to prawda, że pan Palewski zapisał pani coś w spadku?

– Mówił mi kiedyś, że zamierza taki zapis zrobić. Chodziło oczywiście o jakiś drobiazg, ponieważ główną część

spadku dziedziczy córka. Nie pytałam go o to więcej, ponieważ zupełnie mi na tym nie zależało. Więcej nawet – temat ten w ogóle mnie nie interesował. Ale pan mi oczywiście nie wierzy?

– Dlaczego? Wierzę pani. Jak na razie nie mam żadnych powodów, aby wątpić w pani prawdomówność.

– Pan tak tylko mówi. Ale widzę po pana oczach, że pan mnie podejrzewa. Już pewnie ta Popielowa na mnie nagadała.

– Tak pani sądzi?

– O ja już ją znam. Wredne babsko. Co ja jej właściwie zrobiłam, żeby mnie tak nienawidziła? Na każdym kroku musiała wetknąć mi jakąś szpilę. A jak jego podjudzała! Nie przepuściła żadnej okazji, toby nie zrobić mi na złość.

– A sekretarz?

– Niewiele mogłabym o nim powiedzieć. Wydał mi się sympatyczny. Zdaje się, że podkochiwał się we mnie trochę.

– Więc nie jest pani pewna, czy profesor wymienił panią w testamencie, czy nie?

– Nie jestem.

– A może wie pani, gdzie można by było to sprawdzić?

Kto przechowuje testament profesora?

– Mecenas Baczyński z Radości.

– Czy zna pani może jego adres?

– Nie. – Aktorka przybrała zniecierpliwiony wyraz twarzy. Widać było, że to całe przesłuchanie zaczyna ją powoli nudzić. – Palewski nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy do tego stopnia.

– Powiedziała pani, że wczoraj wieczorem po skończonym przedstawieniu udała się pani do domu. Co to było za przedstawienie?

– „Dzika Kaczka” Ibsena.

– Czy pani rola w tym przedstawieniu trwa do końca?

– Nie. Ale to dla pana rachub jest bez znaczenia. Dyrektor i tak każe nam czekać do końca, abyśmy mogli pokłonić się publiczności. Pół godziny każdego wieczora muszę tu sie-

dzień beczynnie. – Bibi Kowalczyk wystudiowanym gestem zgasiła papierosa i poruszyła się na krześle. – Będę musiała już chyba pana opuścić – powiedziała. – Reżyser zrobi mi burę.

– Jeszcze sekundę – zatrzymał ją Różycki. – Czy pani ma samochód?

– Nie. Czy pan naprawdę wierzy, że przy pomocy takich pytań odnajdzie pan zabójcę profesora? To bzdura. Poza tym ja go nie zabiłam. To chyba oczywiste? Zarabiam wystarczająco na swoje potrzeby. – Czy pani kochała Palewskiego?

– Nie. Wiem, powinnam udawać teraz, że było odwrotnie. Mniej by mnie pan podejrzewał. Ale po prostu mi się nie chce. Nie kochałam go.

– Dlaczego wobec tego pozostawała pani z nim przez tyle miesięcy? Przepraszam, że zadaję tak intymne pytania.

– Dlaczego? Profesor podobał mi się jako mężczyzna. Miał niezwykły wdzięk. Pierwsze miesiące były urocze. Wszędzie chodziliśmy razem, a ja w jego towarzystwie czułam się znakomicie. Lepiej w każdym razie niż w towarzystwie tych wszystkich bubków, na których człowiek taki jak ja przez całe życie się natyka. Uczuć w tym związku, przynajmniej z mojej strony, nie było, ale i bez nich miał on swój sens. W każdym razie dopóki nie odkryłam, co się pod tym jego wdziękiem kryło.

– A co się kryło? – wtrącił Różycki.

– Tak w dwóch słowach? – Pytanie porucznika nieco ją zaskoczyło i nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. – Kryło się wiele rzeczy. Nie warto teraz o tym mówić. O zmarłych nie powinno się mówić źle – dodała sentencjonalnie. – Dość że potem współżycie z nim nie było już tak urocze jak na początku. Zapyta pan zapewne, dlaczego w takim razie wtedy z nim nie zerwałam? Sama często zadawałam sobie to pytanie. Z całkowitą pewnością i dzisiaj nie umiałabym na nie odpowiedzieć. Jedno jest pewne, że nawet taki, jaki był, był lepszy niż ci wszyscy mężczyźni, którzy proponowali mi w tym czasie

swoje towarzystwo. Wie pan, w tym świątku ludzie są strasznie powykrzywiani. Nie mówię, że nie ma wśród nas, to znaczy artystów, ludzi wielkich. Są. I ci są dla mnie święci. Bez względu na to, jak zachowują się w życiu prywatnym. Ale tych nielicznych, którzy coś robią, otacza tłum, nieprzebrany tłum głupców, którym się stale wydaje że zyskają trochę poloru, jeżeli otrą się, chociaż o panów artystów. O nich właśnie mówię. To ludzie straszni, ich snobizm i głupota są po prostu niewiarygodne. Palewski, choćby był sto razy bardziej pokrecony i miał sto razy więcej słabości, jeszcze i tak byłby stokrotnie lepszy od każdego z nich. A uczucia. W moim wieku zapomina się już, że w ogóle istnieją. A poza tym Palewski nie chciał mnie puścić. Doszło już kiedyś między nami do próby rozstania. Był do mnie przywiązany. Błagał, żebym została. Godził się na wszystko. No więc zostałam. Cóż miałam lepszego do wyboru? Pana pewnie dziwi, że ja się jego śmiercią nie przejęłam. Owszem. Przejęłam się. Tylko że nie mam zamiaru z tego robić teatru. Dość mam gry na scenie. Zresztą nie wstrząsnęło to mną aż tak, jakby sprawa tego wymagała. Niczym już nie potrafię się przejąć do tego stopnia, żebym aż nie mogła oddychać, jeść i spać. Za dużo już tego było. Ludzka świadomość też ma swoje granice wytrzymałości. Potem już po prostu nie reaguje. A teraz żegnam pana. Muszę wracać na próbę. Jeżeli będę jeszcze do czegoś potrzebna, proszę, oto mój numer telefonu – podała porucznikowi wizytówkę, po czym wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Sierżant Pawłowski oczekiwał na porucznika przy wejściu. Różycki wyjął z kieszeni papierosy i wyciągnął w jego kierunku otwartą paczkę.

- Dziękuję. No i co? Dowiedziałeś się czegoś?
- Niewiele. W każdym razie ma alibi. Wczoraj wieczorem grała w przedstawieniu. Wyszła z teatru po dziewiątej.
- Będziesz mógł opowiadać wnukom, że rozmawiałeś z

pania. Bibi Kowalczyk – roześmiał aie, sierżant.

– Którego dzisiaj? – zapytał porucznik, zatrzymując się przed gablotą, ze zdjęciami z przedstawięń.

– Dwudziestego trzeciego.

– Spójrz! – Różycki wskazał duży biały karton przypięty pinezką do drewnianej ramy otaczającej zdjęcia. Widniał na nim wykaligrafowany dużymi literami następujący napis:

„W dniach 22. 23 i 24 listopada przedstawienia odwołane. Próba generalna”.

– A więc skłamała. Ciekaw jestem dlaczego? Mogła przecież przewidzieć, że sprawdzimy, czy przedstawienie odbyło się istotnie i o której naprawdę wyszła z teatru. Orientuje się chyba, jakie to może mieć znaczenie. No trudno, przesłucham ją jeszcze raz. Na razie mamy mnóstwo innych spraw do załatwienia. Musimy odwiedzić mecenasa Raczyńskiego i dowiedzieć się, jak naprawdę wyglądała sytuacja majątkowa Palewskiego. To pewne. Ale i to nie jest rzecz najpilniejsza. Może poczekać. Są natomiast inne problemy, które oczekują na rozwiązanie. Nie ulega chyba wątpliwości, że Łucja Stasiak nas okłamała. Jestem przekonany, iż to ona dzwoniła do domu Palewskiego wczoraj wieczorem. Możemy chyba również przypuścić, że ona była tą drugą kobietą, do której jeździł ostatnio Palewski, a co zasignalizowała nam Popielowa. Tak więc jej sprawa czeka jeszcze na wyjaśnienie. Jeżeli skłamała, powstaje pytanie dlaczego. Podobnie z Bibi Kowalczyk. Okłamując nas, musiała mieć jakieś ku temu powody.

– A Podkowiński?

– No właśnie. Jego zeznania też powinniśmy sprawdzić. Zajmiesz się tym natychmiast. Skontaktujesz się z profesorem Orzechowskim. Odnajdziesz go chyba na uczelni albo po prostu w domu, pod adresem wskazanym przez Podkowińskiego. Poza tym sprawdzisz, czy nasz student rzeczywiście miał dzisiaj egzamin z fizyki.

– W porządku, załatwię to – powiedział sierżant. – Choć nie widzę powodu, dla którego sekretarz miałby zabijać swego

chlebobawcę.

– Istotnie, motywu doszukać się byłoby w tym wypadku trudno... Ale sprawdzić musimy wszystkich... No to jedź.

– A ty?

– Zostaję. Jestem tu w pobliżu umówiony z majorem Pleśniewiczem. Może on będzie mógł mi pewne rzeczy wyjaśnić. Szczególnie teraz, po odnalezieniu pamiętnika. Przecież oni się znali jeszcze sprzed wojny.

Porucznik rozejrzał się po długiej i nie najlepiej oświetlonej sali kawowego baru.

– Witam pana majora i przepraszam za spóźnienie – Różycki uśmiechnął się radośnie na widok swego byłego szefa.

– Dzień dobry. Cieszę się, że mogę być przydatny, a spóźnienie... Mam tyle czasu. Cóż, emerytura...

– Przepraszam, że pozwoliłem sobie fatygować pana, ale...

– Wie pan dobrze, że zrobił mi pan przyjemność. Próżniacze życie wbrew pozorom nie jest zanadto przyjemne. No, ale o co chodzi?

– Znalazłem te dzienniki Palewskiego. – Porucznik wyciągnął z aktówki gruby zeszyt. – Pomyślałem sobie, że pan może pamiętać te sprawy jeszcze sprzed wojny. Pod datą 11 marca 1937 roku nie ma żadnej istotnej informacji. Przeprowadziłem jednak małe badania wcześniejszych zapisów i późniejszych. I oto co znalazłem pod datą 12 kwietnia. Palewski jest już od trzech tygodni w Ameryce – wyjaśnił i odczytał:

„12 kwietnia. Rano jak zwykle kurs angielskiego. Lunch zjadłem z doktorem Shapiro z Niemiec. Bardzo interesująca postać. Po południu wykład profesora Morgana. W amfiteatrze nawiązałem ciekawe znajomości. Wieczorem pierwszy list z Warszawy. Donoszą mi, że Halszka popełniła samobójstwo. Nazajutrz po moim wyjeździe...”

Profesor wyjechał 10 marca...

– To by się zgadzało – powiedział w zamyśleniu Pleśniewicz.

– Czy wie pan, kim była ta Halszka?

Pleśniewicz uśmiechnął się.

– Tak – powiedział – wiem. Pamiętam tamtą sprawę.

– Czy może mieć ona jakieś znaczenie?

– Owszem. Nie jest to wykluczone... Zaraz, zaraz, od czego właściwie należałoby zacząć?... Zorientował się pan już chyba, że Palewski był strasznym kobieciarzem. Po prostu miał taki charakter. Kochał się w każdej napotkanej dziewczynie i sam miał u nich powodzenie. Robił to z dużym wdziękiem, toteż nikt nie miał do niego o to pretensji, włącznie z zainteresowanymi, które po jakimś czasie rzucał beztrąsko. Cóż, wiele zależy od stylu. Młody, dobrze zapowiadający się naukowiec, bywalec salonów, a przy tym człowiek niezwykle mądry, nie oglupiony powodzeniem, potrafił sobie zaskarbić sympatię wszystkich. Panie, które wpadały w jego sidła, znały wystarczająco jego sercową karierę, aby przewidzieć, że prędzej czy później zostaną porzucone. A mimo to pchały się w jego ramiona. Miał taki urok osobisty, że przebywanie z nim było prawdziwą przyjemnością. Nawet dla osób postronnych. A cóż dopiero mówić o kobiecie, którą na parę tygodni czynił królową swego prywatnego świata. Oczywiście nie było w nim nic z zimnego drania wykorzystującego swoje partnerki. Podejrzewam, że on każdą z tych dziewczyn przez te parę tygodni naprawdę kochał. Potem zjawiała się następna, no i oczywiście jego uczucia zwracały się ku niej. Te, które odchodziły porzucone, nie miały nawet do niego o to pretensji. Raz tylko zdarzyło się inaczej. Na parę miesięcy przed swoim wyjazdem Palewski poznał niejaką Halszkę Olszańską. Była to dziewczyna z bardzo dobrej rodziny, utalentowana śpiewaczka – właśnie wtedy ukończyła konserwatorium – a przy tym nie zepsuta przez towarzystwo. W salonach artystycznych pojawiała się rzadko, a kiedy to robiła, nie reagowała na dowody

zachwytu, który jej okazywano. Była to po prostu osoba niezwykle poważna, o niepowierzchowych zainteresowaniach artystycznych. Pisała również wiersze, które nawet kiedyś czytałem, i mogę panu powiedzieć, że jak na osobę tak młodą były zupełnie niezłe. Od paru lat zaręczona była z jakimś Romanem Potterem, skrzypkiem, który w owym czasie zaczął już koncertować. On był od niej, o ile wiem, o jakieś trzy lata starszy. Miłość, poważne plany, wspólne zainteresowania, słowem – pełnia szczęścia. I wtedy właśnie na jakimś przyjęciu poznała Palewskiego. Była kobietą o urodzie dosyć niezwykłej, więc jak łatwo odgadnąć, Palewski natychmiast się nią zainteresował. Szybko zrozumiał, że jest to osoba pod każdym względem przerastająca wszystkie jego dotychczasowe kochanki i że trzeba zastosować nadzwyczajne środki. Jak się okazało, potrafił i to zrobić. W dwa tygodnie później Olszańska wyjechała z nim do Zakopanego, zakochana po uszy. Palewski też zresztą zdawał się traktować tę, sprawę poważniej niż wszystkie poprzednie. Potter szalał. Zakupił pistolet i publicznie mówił, że przy pierwszej lepszej okazji Palewskiego zabije. Wywołał go zresztą na pojedynek, ale Palewski po prostu wyśmiał ten pomysł, opatrując na dodatek swą odpowiedź jakimś wybornym dowcipem. To oczywiście zdradzonego narzeczonego doprowadziło do jeszcze większej furii. Nie wiadomo, czy jego pogroźki były prawdziwe. Palewski postarał się o to, żeby tamten nie miał możliwości zrealizowania ich. Jednocześnie romans z Olszańską rozwijał się coraz bardziej. Mówiła o tym cała Warszawa. Obie osoby były wyśmienicie znane w świecie intelektualnym, by stać się przedmiotem nieustających plotek i domysłów. Mówiono, że Potter błagał Halszkę Olszańską, aby do niego wróciła, obiecując, że wszystko jej wybaczy. Ona jednak nie widziała już nikogo poza Palewskim. Spotkałem ich kiedyś na ulicy w tym okresie. Wpatrywała się w niego jak w święty obrazek. Po pewnym czasie zaczęła mówić, że tym razem Palewski wpadł i na pewno się ożeni. Żaden z jego poprzednich romansów nie

trwał tak długo. Ale była to, jak się okazało, nieprawda. Im bardziej Olszańska była zakochana i zaślepiona, tym więcej uczucia Palewskiego chłodziły. Cóż, należał do tego typu mężczyzn, których interesuje tylko zdobywanie. Nie potrafił natomiast zrozumieć ślepej i zaborczej miłości, jaką otaczała go Olszańska. Nie opuszczała go ani na chwilę, jego, który w ciągu jednego dnia potrafił pokazać się w trzech miejscach i w każdym z inną kobietą! Nie mówił o tym, ale kiedyś po spotkaniu z nim zrozumiałem, że się dusi. Jednocześnie za bardzo szanował swoją partnerkę, aby porzucić ją jak wszystkie poprzednie. To była po prostu sprawa innego kalibru. I właśnie wtedy przyszedł list ze Stanów Zjednoczonych. Była w nim pozytywna odpowiedź na prośbę Palewskiego o udzielenie mu stypendium. Przyznano mu na razie pieniądze na rok, z tym że istniała możliwość przedłużenia pobytu. Palewski wykorzystał ten wyjazd jako pretekst do rozstania z Halszką. O ile wiem, błagała go, aby zabrał ją ze sobą. Zdaje mi się jednak, że dawał jej jakieś wymijające odpowiedzi. O ile pamiętam, proponował jej odłożenie wyjazdu do czasu, aż sam sobie ułoży tam jakąś sytuację. Przyjmowała te jego tłumaczenia z rezerwą, ale ciągle jeszcze miała pewne nadzieje. Odprowadzałem Palewskiego na dworzec. Widziałem, jak się żegnali. Ona płakała. On był nieco zażenowany całą sytuacją. Wstydził się tych uczuciowych manifestacji przy tak dużej widowni – na peronie zebrała się wtedy bowiem spora grupka znajomych. Uspokajał ją, ale nie krył swego niezadowolenia. Ona to chyba dostrzegła. Wsiadła w następny pociąg i pojechała za nim do Gdyni. Postępowała już wtedy w sposób desperacki. Tymczasem Palewski umówiony był ze swoimi znajomymi, z którymi postanowił swój ostatni dzień w kraju spędzić na wesołych zabawach. Dość miał obowiązków romantycznego kochanka. Kiedy zobaczył Halszkę w Gdyni, wściekł się. Tak mi przynajmniej opowiadano. Nie próbował już tym razem ukrywać swoich uczuć. Zerwał z nią w sposób brutalny. Po prostu powiedział, że to już koniec, i odszedł. Ona z płaczem wybiegła

z hotelu. Następnego dnia, kiedy odpływał statek, widziano ją w porcie. Palewski nawet do niej nie podszedł. Nazajutrz przyszła wiadomość o jej śmierci. Przecięła sobie żyły w pokoju hotelowym. Potter, gdy dowiedział się o jej śmierci – Pleśniewicz zapalił papierosa – dostał szału. W gruncie rzeczy przez cały czas zdaje się liczył, że jego narzeczona prędzej czy później wróci do niego. Kochał ją tak bardzo, że gotów był wybaczyć jej wszystko. Cóż, stało się inaczej. Olszańska była chyba zbyt dumna, aby zgodzić się na takie rozwiązanie. Wybrała śmierć. Potter biegał podobno do wszystkich, obiecując, że pojedzie do Stanów Zjednoczonych i własnoręcznie zarżnie tego potwora, choćby miał za to zapłacić życiem. Jego stan był tak poważny, że musiał zaopiekowanie nim psychiatra. Przez dłuższy czas otrzymywał teki uspokajające. W parę miesięcy później miał bardzo przykry wypadek. Nieszczęścia, jak wiadomo, chodzą parami. Złamał sobie palec lewej ręki. Było to jakieś bardzo skomplikowane złamanie. Wykaraskał się z tego, ale wiadomo było, że jego kariera solisty jest już przesądzona. Potem, jak to zwykle bywa, cała sprawa ucichła. Wybuchła wojna i nikt już nie myślał ani nie mówił o tej romantycznej historii.

– Widzę, że będę musiał tego Pottera odnaleźć – powiedział porucznik w zamyśleniu.

– Niewykluczone, że pracuje w jakiejś orkiestrze, ale być może, nie ma go w kraju. Mógł też zginąć lub umrzeć... Była przecież wojna... – Major urwał i spojrzął przed siebie. – Nigdy go nie spotkałem. Nikt też mi o nim nie wspominał.

– Dziękuję panu, majorze. Ogromnie mi pan pomógł.

– Duża to dla mnie radość być jeszcze przydatnym. Gdyby chciał pan jeszcze kiedyś sprawić mi taką przyjemność, polecam się.

– No i co nowego? – zapytał porucznik, kiedy sierżant Pawłowski wszedł do pokoju. Był wieczór. Na

stole paliła się lampa, a obok walały się stosy papierów. Pokój tonął w dymie.

– Wszystko w porządku – Pawłowski, wyraźnie zmęczony, usiadł na krześle i ręką odrzucił znad czoła zmoczone deszczem włosy. – Uff, ale się nabiegałem. Zaraz wszystko opowiem. – Wstał, zdjął płaszcz i odłożył go na stojące obok krzesło. – Profesor Orzechowski jest, zdaje się, najtrudniej uchwytną osobą w Warszawie. Poszedłem do niego do domu, ale tam go oczywiście nie było. Powiedziano mi, że jest na politechnice. Kiedy jednak tam przyjechałem, okazało się, że pięć minut temu wyjechał. Nikt nie wiedział dokąd. Dopiero jedna pani przypomniała sobie, że Orzechowski miał wydobyć jakąś książkę z biblioteki PAN-u. Pojechałem do biblioteki, ale profesor był szybszy. Doprawdy, porusza się jak rakieta. Zdążył już wypożyczyć książkę i rozpocząć wykład na uniwersytecie. Tam go wreszcie dopadłem, ale oczywiście w czasie wykładu nie mogłem mu przeszkadzać. Przez półtorej godziny słuchałem niezwykle interesujących rzeczy na temat falowej i korpuskularnej teorii światła. Muszę powiedzieć, że nawet się nie nudziłem, choć zrozumiałem chyba mniej niż połowę...

– No i co powiedział profesor? – przerwał mu porucznik.

– Wszystko potwierdził, powiedział nawet, że o ile sobie przypomina, Podkowiński wyszedł od niego jeszcze później, niż nam podał, to znaczy jakiś kwadrans po dziewiątej. Ma więc murowane alibi. W sprawie egzaminu także nie skłamał. W dziekanacie powiedziano mi, że zdał egzamin dzisiaj o jedenastej z wynikiem celującym.

– Brawo. Bałem się trochę, że ta sprawa przeszkodzi chłopakowi w nauce.

– Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale wydaje mi się, że możemy go chyba wykluczyć. Po pierwsze, murowane alibi, po drugie, zupełny brak motywów.

– Tak. Chyba masz rację. Ja też o tym myślałem. Z kasy profesora nic, o ile nam wiadomo, nie zginęło.

Podkowiński nie tylko nie mógł być zainteresowany w śmierci chlebobawcy, ale nawet wręcz odwrotnie. Stracił przecież niespecjalnie męczącą posadę, dzięki której mógł się utrzymać w czasie studiów. No, a pani Bibi Kowalczyk?

– Sprawdziłem w teatrze, przedstawienia wczoraj nie było.

– Hm... – zamyślił się Różycki. – Jej sprawa jest w tej chwili dla mnie zupełnie niejasna.

– Potem pojechałem do Radości i odnalazłem adres tego adwokata. Mieszka trzy domy dalej.

– Świetnie. Jutro go odwiedzę. Muszę dowiedzieć się, jak naprawdę wyglądała sytuacja majątkowa profesora i jakiej treści jest pozostawiony przez niego testament. Od tego zależy może bardzo wiele... No, a co z Potterem?

– Zaraz będę wiedział. Wydałem odpowiednie dyspozycje i czekam na rezultat. Może on jednak być dla nas zaskoczeniem, trudno przecież wykluczyć, że Pottera nie ma w kraju. Wtedy zemsta okazałaby się mistyfikacją.

– Osobiście rozumiem trochę inaczej, aczkolwiek nie neguję mistyfikacji. – Różycki wyciągnął z kieszeni spodni chustkę do nosa i z hałasem wytarł nos. – List musiał wysłać albo sam Potter, albo ktoś, kto chciał na niego skierować podejrzenia. W pierwszym wypadku, tak jak mówisz, Potter musi być w kraju, ale i w drugim wypadku jest to raczej konieczne. Należy bowiem przypuszczać, że sprawca zbrodni, jeżeli miał choć odrobinę oleju w głowie, chcąc skierować podejrzenia na kogo innego, sprawdził przynajmniej, czy ta osoba jest gdzieś w pobliżu i czy w ogóle może być podejrzana.

– Słusznie, masz rację – zgodził się Pawłowski i wstał. – Idę po wynik poszukiwań. Powinien już być gotowy.

Po wyjściu sierżanta Różycki wyjął i szuflady szarą kopertę, do której zapakowano drobiazgi znalezione w kieszeni ubrania denata, i wysypał jej zawartość na biurko. Raz jeszcze obejrzał wszystko skrupulatnie. Miał niejasne przeczucie, że

wśród nich kryje się jakaś tajemnica, której rozwiązanie umożliwiłoby mu dojście do rozwikłania tej najważniejszej, do odpowiedzi na pytanie: kto.

Pogrążony w tych rozmyślaniach, prawie nie zwrócił uwagi na powrót Pawłowskiego.

– Mam – sierżant prawie krzyknął od progu. – Suzina siedem mieszkania dwadzieścia osiem. I telefon jest.

Różycki wykręcił zapisany na kartce numer. – Moje nazwisko Różycki. Chciałbym rozmawiać z panem Potterem.

– Mąż wrócił dopiero przed chwilą z Łodzi. Jest bardzo zmęczony. Czy nie mógłby pan zadzwonić jutro?

– To bardzo ważna sprawa – wyjaśnił porucznik – Może jednak poprosi pani męża na chwilę?

Potter podszedł w końcu do telefonu, ale długo nie chciał się zgodzić na spotkanie. Tłumaczył, że dopiero przed chwilą powrócił z podróży. Wreszcie Różycki zdołał uzyskać od niego zgodę na krótką wizytę.

– Jedziemy? – zapytał Pawłowski, kiedy porucznik odłożył słuchawkę.

Różycki skinął głową.

Zatrzymali się na małej żoliborskiej uliczce. Weszli po schodach na górę. Otworzył im mężczyzna w sztruksowych spodniach i luźnym czarnym swetrze. Duża szrama ciągnęła się w poprzek jego prawego policzka i nadawała twarzy wyraz niezwyklej zaciętości

– Dobry wieczór – powiedział Różycki. – Czy pan Potter?

– Tak. Czy to pan do mnie dzwonił?

– Owszem. Przepraszam, że fatygujemy pana tak późno i po podróży, ale sprawa jest, niestety, dosyć poważna.

Potter wprowadził ich do pokoju, w którym stało tylko pianino i stół oraz trzy krzesła. Na wieku pianina leżały skrzypce w futerałach. Stół zarzucony był stosami nut. Nad pianinem wisiał portret Beethovena.

– Zamordowano profesora Palewskiego – powiedział Ró-

życki, kiedy usiedli

– Palewskiego?...

Na twarzy Pottera zaszła dziwna zmiana. Był zupełnie osłupiały. Patrzył na porucznika nieruchomymi oczyma, przy czym trudno było powiedzieć, czy wyrażają one zdumienie czy raczej przestach. Różycki odczekał chwilę.

– Tak – powiedział w końcu. – Palewski został zamordowany w swoim mieszkaniu.

– No, ale przecież on... przecież on był w Ameryce! – Twarz skrzypka przybrała wyraz jeszcze większego zdziwienia.

– Był, ale wrócił już dobrych parę miesięcy temu. Nie wiedział pan o tym?

– Nie – Potter zaprzeczył stanowczo. – Nic nie wiedziałem.

– Przecież donosiła o tym prasa. Udzielił nawet wywiadu dla telewizji. I pan o tym nie wiedział? Pan, który uważał go za swego śmiertelnego wroga?

Twarz Pottera stała się nagle purpurowa. Widać było, że z trudem opanowuje wybuch. Milczał, walcząc ze sobą przez chwilę.

– Ach, to stara historia – wydusił wreszcie. – Kto by pamiętał przez tyle lat? – dodał sentencjonalnie. – Nie interesowałem się nim potem. Zresztą gazety czytam rzadko. Kupuję je tylko wtedy, gdy chcę zobaczyć, jaki jest program w kinach. Niekiedy przy tej okazji czytam oczywiście i wiadomości. Ale tylko wtedy. A telewizji nie oglądam w ogóle. Nie zgodziłem się, kiedy żona chciała, abyśmy kupili aparat. Nie miałbym gdzie ćwiczyć. Ciągłe byłby w domu hałas. A nadają i tak same bzdury. Rozumie więc pan, że mogłem taką wiadomość przeoczyć?

– Rozumiem, oczywiście. Sprawa jest jednak za poważna, abym mógł panu wierzyć na słowo. Tym bardziej że na jakiś tydzień przed śmiercią Palewski otrzymał list z pogrozkami, czyniący niedwuznaczną aluzję do wydarzeń z tysiąc

dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

– Tydzień przed śmiercią? O jakich wydarzeniach pan mówi? – Twarz Pottera poczerwieniała ponownie.

– Niech pan nie udaje. Może to pana zdziwi, ale zdołałem uzyskać na ten temat dosyć dokładne informacje.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Usiłuje pan może sugerować, że to ja wysłałem ten list i że ja go zamordowałem?

– Niepotrzebnie pan się denerwuje – Różycki próbował go uspokoić. – Nikt jeszcze nie powiedział, że to właśnie pan jest podejrzany. Niemniej jednak, prowadząc śledztwo, musimy sprawdzić wszystkie możliwe warianty.

– Tak czy inaczej ja przez cały czas byłem w Łodzi. Nie mogłem zamordować kogoś w willi pod Warszawą, jeżeli w tym samym czasie byłem w innym mieście.

– W jakim czasie?

– Przez ostatnie trzy dni.

– A skąd pan wie, kiedy popełniono morderstwo?

– Ja... Nie wiem. To przecież pan...

– Nic takiego nie powiedziałem, a ciekaw jestem, skąd pan wie, że Palewski miał willę?

– Ja powiedziałem, że miał willę?

– Owszem, powiedział pan: „Nie mogłem zamordować kogoś w willi pod Warszawą, jeżeli w tym samym czasie byłem w innym mieście”.

– Ja tak powiedziałem?

– Owszem.

– Widocznie pan sam o tym wspominał!

– Myli się pan.

– Może się mylą. Mnie to wszystko nic nie obchodzi. Dojdzie jeszcze do tego, że po tylu latach raz jeszcze będą miał przykrości z powodu tego człowieka. Doprawdy tego za wiele. Skąd wiedziałem, że ma willę! A niby w czym ma mieszkać człowiek przyjeżdżający po trzydziestu latach ze Stanów? W kawalerce?

- Niech pan przyzna, że wiedział pan o jego powrocie.
- Nie przyznam, bo nie wiedziałem. I proszę mi dać spokój! Jestem zmęczony!
- Jeszcze chwileczką. Proszę się nie denerwować. Musi mi pan wybaczyć, to mój obowiązek.
- Słucham – Potter, aby zaznaczyć swój sprzeciw wobec tego, w co się go miesza, manifestacyjnie odwrócił oczy ku oknu.
- W jakim celu wyjeżdżał pan do Łodzi?
- Występuję w kwartecie imienia Henryka Wieniawskiego. Mieliśmy tam przez trzy dni występy.
- Czy zespół pojechał do Łodzi pociągiem?
- Nie. Samochodem.
- Z Filharmonii?
- Nie, moim własnym.
- Czy zawsze jeździcie na występy pana samochodem?
- Często.
- A od czego to zależy?
- Proszę pana, czego pan ode mnie właściwie chce? Sprawa jest chyba oczywista. Jeżeli byłem w Łodzi, nie mogłem być w Warszawie. Nic pan tu więcej nie wymyśli.
- Pozwoli pan, że o tym ja już będę decydował. Chciałem wiedzieć jeszcze jedno. Co pan robił wczoraj koło dziewiątej wieczorem?
- Nic.
- Jak to nic? Gdzieś przecież musiał pan być.
- W Łodzi byłem, drogi panie. Mieliśmy mieć wieczorem występ, ale w ostatniej chwili został odwołany. Cóż można robić w takiej sytuacji? Pójść na spacer, na kawę...
- Mam rozumieć, że poszedł pan na spacer?
- Może pan tak to rozumieć, jeżeli to panu odpowiada.
- Sam czy z kolegami?
- A nie wszystko jedno?
- Nie.
- Sam.

– Na razie dziękuję, ale może pan być nam jeszcze potrzebny. Czy w najbliższym czasie zespół wybiera się na jakieś występy?

– Dopiero za tydzień.

Pożegnali się. Potter nawet na nich nie spojrział, patrzył gdzieś w bok, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że jego goście zachowują się niewłaściwie. Albo jakby miał coś do ukrycia – pomyślał Różycki, schodząc powoli po schodach.

– Doprawdy zachowywał się dziwnie – powiedział do sierżanta, kiedy wsiadali do samochodu. – Ile jest kilometrów z Łodzi do Warszawy?

– Mniej więcej sto trzydzieści – odpowiedział Pawłowski.

– Trzeba będzie przepytac jeszcze jego kolegów z zespołu. Jutro z samego rana dowiesz się o ich adresy i przyjdiesz z nimi do mnie. A teraz jedźmy do domu. Padam z nóg.

– Oto lista członków kwartetu – powiedział sierżant Pawłowski, wchodząc do pokoju.

Różycki wziął od niego kartkę i przebiegł oczyma nazwiska.

Za oknem powoli wstawał ponury jesienny dzień. Było tak ciemno, że we wszystkich oknach paliły się jeszcze światła, chociaż już dawno minęła ósma.

– No dobrze – Różycki zgasił papierosa. – Weźmy na przykład pana Ryszarda Dębowskiego, który w zespole gra na altówce. Zadzwoni do niego i umów mnie z nim na rozmowę. Jeżeli to możliwe, to zaraz...

Pół godziny później Różycki stał przed drzwiami muzyka. Słychać było, jak wewnątrz altówka wykonuje jakieś skomplikowane arpedžia. Porucznik przycisnął dzwonek, instrument umilkł. W drzwiach ukazał się młody mężczyzna w białym obcisłym golfie. Był przynajmniej o dwadzieścia lat młodszy

od Pottera.

– Proszę – powiedział, zapraszając do środka. – Niech pan wejdzie... – Przyjrzał się uważnie porucznikowi i poprowadził go do pokoju. – Proszę usiąść – wskazał ręką na fotel.

– Może herbaty?

– Nie, nie. – Różycki powstrzymał go ręką. – Wpadłem dosłownie na chwilę, nie chcę panu przeszkadzać w pracy.

– Ależ skąd. Zupełny drobiazg. Umieram z ciekawości, o co to może chodzić. Mam nadzieję, że nie jestem oskarżony o żadną zbrodnię? – uśmiechnął się.

– Nie – uspokoił go porucznik. – W ogóle nie chodzi o pana. Chciałem sprawdzić tylko pewne dane, które uzyskałem od jednego z pańskich kolegów. Pan był z kwartetem w Łodzi, prawda?

– Zawsze jeździmy razem. Inaczej to po prostu niemożliwe. W innym składzie nie mielibyśmy repertuaru.

– Tak właśnie myślałem. A więc trzy dni temu wyjechałście do Łodzi. Samochodem pana Pottera, czy tak?

– Owszem, jak na razie wszystko się zgadza.

– Czy często jeździcie na tournée jego samochodem?

– Och nie, tylko w zupełnie wyjątkowych okolicznościach. Na ogół jeździmy raczej pociągami albo samochodem filharmonii. O ile jest wolny oczywiście.

– Czy orientuje się pan, dlaczego Potter tym razem zdecydował się jechać własnym samochodem?

– Twierdził, że ma gdzieś pod Łodzią rodzinę. Chciał ją odwiedzić. W tej sytuacji podróż samochodem była rozwiązaniem najwygodniejszym.

– A nie wie pan, czy Potter istotnie odwiedził tę rodzinę?

– Przez pierwsze dwa dni nie było na to czasu. Wczoraj pierwszy występ mieliśmy o piętnastej, a drugi, który miał odbyć się o ósmej, odwołano. Potter, jak tylko się o tym dowiedział, wsiadł w samochód i pojechał do rodziny.

– O której to mniej więcej było?

– Czy ja wiem? Skończyliśmy grać około wpół do piątej.

W jakieś dziesięć minut później przyszedł dyrektor tamtejszej Filharmonii i powiedział, że koncert musi być odwołany. Potter natychmiast ruszył w drogę. Chyba jeszcze przed piątą.

– A kiedy wrócił?

– Tego nie umiem panu powiedzieć. Gdy kładliśmy się spać przed dwunastą, jeszcze go nie było. Rano, kiedy się obudziliśmy, był już w pokoju, ale zdaje się, że wrócił bardzo późno, bo nie można go było dobudzić – Dębowski przerwał na chwilę i spojrzał na porucznika. – Czy coś się stało? – zapytał.

– Owszem, zamordowano człowieka.

– Czy pan Potter... – Dębowski zatrzymał się w pół zdania.

– Tego nie mogę panu powiedzieć, sam jeszcze nie wiem, w jakim stopniu sprawa ta go naprawdę dotyczy. Bardzo panu dziękuję za informacje.

Wyszli do przedpokoju. Dębowski, żegnając porucznika, zdawał się być bardzo przejęty.

Na dworze padał śnieg. Białe płatki szybowwały powoli w powietrzu i opadały na chodnik, aby tam po zetknięciu z powierzchnią ziemi roztopić się ostatecznie.

– Jedziemy do Radości – rzucił Różycki kierowcy, wsiadając do samochodu.

Willa mecenasa Raczyńskiego, oddalona nieco od głównej szosy, stała na uboczu. Dotarli tam z trudem, boczna droga nie miała nawierzchni.

– O ile się nie mylę, to tutaj – powiedział porucznik, wskazując wyłaniające się spomiędzy drzew żółte ściany domu. Samochód zatrzymał się przed bramą. Furtka była zamknięta. Po ogrodzie kręcił się olbrzymi, czarny pies. Różycki nacisnął dzwonek. Minęła spora chwila, zanim w drzwiach domu ukazała się owinięta okazałych rozmiarów chustą postać.

– Pan do kogo? – krzyknęła z daleka.

– Do pana mecenasa – odpowiedział jej porucznik. – By-

łem umówiony telefonicznie.

Kobieta weszła z powrotem do domu, by po chwili ukazać się znowu. Szczelnie okrywając się chustą, podreptała ku bramie i otworzyła furtkę za pomocą masywnego klucza.

– Proszę, niech pan wejdzie – zaskrzeczała, przepuszczając Różyckiego. – Pan mecenas oczekuje.

W holu ponad wieszakiem tkwiły przytwierdzone do ściany ogromne jelenie rogi. Całe mieszkanie tchnęło zapachem dawno minionej epoki. Wszystkie meble, a nawet drobniejsze przedmioty pochodziły przynajmniej sprzed wojny. Przeszklone potrójne drzwi z lewej strony kazały się domyślać dużego salonu. Chropowate szyby jeszcze bardziej tłumiyły i tak już słabe światło dnia – w holu panował półmrok.

– Proszę, niech pan zdejmie płaszcz – powiedziała kobieta. – Nie, nie tutaj – dodała widząc, że Różycki kieruje się ku salonowi. – Pan mecenas prosi do gabinetu.

Wyminęła go, otworzyła drzwi znajdujące się w samym końcu holu i przez mały korytarzyk poprowadziła pod drzwi, których powierzchnia całkowicie pokryta była skórą. Wsadziła do środka głowę i powiedziała przyciszonym głosem:

– To ten pan, co miał przyjść.

– Proszę, niech wejdzie – zgodził się basowy głos.

Gospodyni wycofała się bokiem. Różycki wszedł do środka. Za biurkiem siedział otyły, ale elegancko ubrany mężczyzna w okularach. Zerwał się z fotela niezwykle lekko i wyszedł zza biurka, aby powitać gościa.

– Witam, panie poruczniku – powiedział swym tubalnym głosem, podając równocześnie Różyckiemu dłoń. – Proszę, niech pan siada – wskazał klubowy fotel, stojący naprzeciw biurka. Sam zasiadł na swoim miejscu.

Różycki dyskretnie rozejrzał się dookoła. Pokój wypełniony był książkami. Ściany zdobiły reprodukcje Wyczółkowskiego i Fałata.

– Pan, jak się domyślam, chce uzyskać dane na temat sytuacji spadkowej profesora Palewskiego? Czy mógłbym zoba-

czyć pana legitymację służbową? Pan wybaczy, ale to mój obowiązek. Nie każdemu mam prawo takich informacji udzielać.

Różycki wyciągnął dokument i pokazał mecenasowi.

– Dziękuję – powiedział Raczyński. – Mam już teczką profesora przygotowaną. Otóż sprawa przedstawia się następująco. Głównym spadkobiercą całości majątku jest córka profesora, pani Betsy Palewski, urodzona w 1948 roku w Bostonie. Wysokość spadku nie jest podana, natomiast powiedziane jest, że pani Betsy Palewski od momentu śmierci profesora automatycznie ma prawo korzystania ze wszystkich jego wkładów bankowych. Do tego testamentu miesiąc temu profesor wprowadził drobną zmianę. Polega ona na tym, że z sumy złożonej w Banku Handlowym w Warszawie piętnaście tysięcy dolarów otrzymać ma pani Bibi Kowalczyk. Oczywiście wobec całości nie jest to kwota wielka, niemniej jednak, sam pan rozumie, niemała. Identyczną kopię testamentu w języku polskim i angielskim ma mecenas William Munro z Genewy. On też ma przeprowadzać właściwe postępowanie spadkowe.

– Czy umiałyby pan, panie mecenasie, określić w przybliżeniu wartość majątku profesora Palewskiego? – zapytał Różycki.

– Mhm – Raczyński zastanowił się. – Nie jest to zadanie łatwe. Pan profesor Palewski trzymał swoje pieniądze w kilku różnych bankach. Wiem, że miał otwarte konto w naszym Banku Handlowym. Z niego właśnie, jak to już powiedziałem, ma być wypłacona suma dla pani Kowalczyk. Przypuszczam jednak, że nie wyczerpuje ona całego wkładu złożonego w kraju. W Stanach Zjednoczonych profesor miał konto w Manhattan Bank, no a poza tym pewne rezerwy w Szwajcarii. Wiem, że Palewski otrzymał w 1948 roku zamówienie od jednego z bardziej znanych wydawnictw amerykańskich na popularny podręcznik z zakresu filozofii. Książka ta rozeszła się w bardzo wysokim nakładzie i została przetłumaczona na kilkanaście języków, stając się właściwie podstawą majątku

profesora. Wiadomo, że na wykładach uniwersyteckich nikt by się takiej fortuny nie dorobił. Pan Palewski sam mi kiedyś o tym opowiadał. A co do sumy, no cóż, żaden bank nikomu takich informacji nie udzieli i pan profesor sam w rozmowach ze mną nigdy tej sumy nie wymieniał. Ale licząc w przybliżeniu, sądzę, że możemy śmiało uznać, iż przekracza ona pół miliona dolarów. O ile, tego nie umiałbym powiedzieć.

– Dziękuję panu, panie mecenasie. – Różycki wstał. – Sądzę, że te informacje powinny mi wystarczyć.

– Jestem do usług. – Raczyński podniósł się także i wierny swemu stylowi zęgnął gościa przy pomocy gestów i zwrotów dziś już dawno nie używanych.

– Podjechać do willi Palewskiego? – zapytał kierowca, kiedy porucznik znalazł się w samochodzie.

– Po co? – Różycki był zamyślony.

– Odwiedzimy Kolczyka. Dowiemy się, czy nie zaszło coś nowego.

– No dobrze. Zatrzymajmy się tam na chwilę – zgodził się porucznik.

Samochód potoczył się po wilgotnym piachu pomiędzy pniakami karłowatych sosen, dominujących w krajobrazie miejscowości. Sierżant Kolczyk wyszedł im naprzeciw. Musiał zauważyć samochód przez okno, bo zanim jeszcze zdążyli otworzyć drzwiczki, ukazał się przed domem i spieszenie podbiegł do furtki.

– Jest depesza – powiedział, witając się z porucznikiem.

– Depesza? – Różycki patrzył na niego zdumiony. – Do kogo?

– Do pana Podkowińskiego – tłumaczył Kolczyk – Z Ameryki.

– Dawaj ją. – Porucznik spieszenie ruszył ku domowi. – Gdzie ją masz?

– Leży w gabinecie, na biurku. – Kolczyk toczył się za porucznikiem na swoich krótkich nóżkach, nie mogąc dotrzymać mu kroku.

Różycki wpadł do domu i nie zdejmując płaszcza, wszedł do gabinetu.

– Ale to nie wszystko – wołał za nim Kolczyk. – Był tu koło jedenastej jakiś facet Otworzył furtkę i zaczął grzebać w skrzynce na listy. Wybiegłem z domu. Spłoszył się i uciekł. Wołałem, żeby się zatrzymał, ale on rzucił się biegiem przez las. Nie było szans, aby go dogonić.

– Jak wyglądał? – zapytał Różycki.

– Taki starszy. W ciemnych okularach i w płaszczu w zielono-szarą kratę.

Porucznik rozwinął zapieczętowany papier i odczytał: „Szanowny panie stop przylatuję we wtorek stop piętnasta czterdzieści pięć stop Betsy Polewski”.

– To dzisiaj – powiedział do siebie.

Nad płytą lotniska powoli zapadał zmrok. Liczne światła pozycyjne, wyznaczające pasy startowe i miejsca lądowania, tworzyły skomplikowaną siatkę, przypominającą wypełniony gwiazdami nieboskłon. Wiał ostry wiatr. Tylko kilku oczekujących zdecydowało się wyjść na balkon. Różycki wołał jednak trochę zmarznąć, niż tkwić w zatłoczonej i gwarnej poczekalni. Znalazł się więc wśród oczekujących pod gołym niebem. Po paru minutach zza ciemniejszych chmur rozległ się głuchy huk, który kilkakrotnie przybliżał się i oddalał, ciągle jednak nic nie było widać. Na pasach jakieś światła to zapalały się, to gasły. Ludzie zebrani na tarasie odwracali głowy w różnych kierunkach, niezdolni odgadnąć, skąd wynurzy się samolot. Wyskoczył wreszcie spośród chmur, tuż nad ziemią, na drugim krańcu lotniska. Zniżał się przez chwilę, po czym osiadł i potoczył po pasie biegnącym w poprzek lotniska. Potem zakręcił i z narastającym hukiem odrzutowych silników zbliżył się do zabudowań. Dopiero teraz jego ogromne cielsko stało się wyraźniejsze, na jego boku można już było nawet dostrzec wymalowany wielkimi

literami napis: Pan American. Porucznik odwrócił się i szedł po schodach. W poczekalni panowało jeszcze większe poruszenie niż poprzednio. Lądowanie samolotu zostało już widocznie ogłoszone, bo nieprzebrany tłum gapiów falował teraz przy szybie, za którą dojrzeć można było podróźnych przechodzących do kontroli celnej. Różycki odszukał Pawłowskiego, który siedział na ławce koło kas. Obok niego stał, odwrócony do sierżanta tyłem, Podkowiński.

– Dzień dobry panu – ukłonił się, zauważywszy porucznika.

– Widzę, że przekazano panu wiadomość – Różycki podał mu rękę. – Najmocniej przepraszam, że pozwoliłem sobie otworzyć telegram zaadresowany do pana, ale ponieważ i tak było oczywiste, o co chodzi, myślę, że jestem usprawiedliwiony.

Podróżni zgromadzeni przy okienkach kontroli paszportów powoli zaczęli przeciekać do pomieszczenia znajdującego się w samym środku budynku, gdzie odbywała się kontrola bagaży. Różycki badał wzrokiem każdą wychodzącą sylwetkę. W drzwiach ukazała się szczupła dziewczyna w dżinsach i krótkim sportowym kozuchu. W rękę trzymała skórzaną podróźną torbę. Stała w miejscu, jak gdyby nie wiedząc, co dalej ze sobą zrobić. Uniosła na czoło duże, ciemne okulary i rozglądała się dookoła. Jakiś mężczyzna biegnący z walizką w kierunku wyjścia uderzył ją z tyłu. Zdumiona tym niespodziewanym atakiem, odskoczyła i ręką roztarła łydkę w miejscu, gdzie trafił ją kant walizki. Następnie zatrzymała przechodzącego koło niej tragarza i zapytała o coś, żywo gestykułując rękami. Tragarz nasłuchiwał uważnie, po czym wskazał jej kasy. Dziewczyna chwyciła w rękę torbę i niepewnym krokiem ruszyła we wskazanym kierunku. Różycki wystąpił naprzód.

– Pani Betsy Palewski? – zapytał.

– Tak – potwierdziła dziewczyna – czy to pan Podkowiński?

– Nie – uśmiechnął się porucznik – ale sekretarz pani oj-

ca jest tutaj również. Ja prowadzę śledztwo. Porucznik Różycki – przedstawił się.

– Śledztwo? – zdumiała się dziewczyna. – Dlaczego śledztwo?

– Pan Podkowiński widać nie powiadomił pani o wszystkim. Oczywiście w depeszy trudno było o tym mówić. Pani ojciec został zamordowany.

– O Boże! – westchnęła. – Chwileczkę. – Odstawiła na ziemię torbę i podeszła do ławki. Usiadła. Z kieszeni wyciągnęła papierosy i drżącą ręką wyjęła jednego z paczki. Różycki podał jej ogień. Przyjęła, nawet na niego nie patrząc. Szybko zaciągnęła się kilka razy i zakryła twarz dłońmi. Chwilę siedziała tak, nie poruszając się wcale. Potem nagle wyprostowała się, raz jeszcze zaciągnęła papierosem, zgasiła go w popielniczkę i wstała. – Już – powiedziała – przepraszam.

– To jest właśnie pan Podkowiński – Różycki wskazał na zbliżającego się sekretarza.

– Dzień dobry panu – powiedziała.

Podkowiński ukłonił się lekko.

– Chciałbym wyrazić pani moje głębokie współczucie – zaczął niepewnie. – Sam... – urwał ledwie rozpoczęte zdanie.

Zdawało się, że dziewczyna w ogóle nie słucha. Patrzyła nieprzytomnie w przestrzeń, pogrążona w swoich myślach.

– Chodźmy do samochodu – powiedział Różycki.

Dziewczyna chwyciła rączkę torby. Porucznik zaoferował swą pomoc. Oddała mu bagaż, nawet nie spojrzawszy na niego.

– Tędy – wskazał jej drogę sierżant. Odszukał na parkingu stojące pośród innych samochodów fiata.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Pawłowski, kiedy znaleźli się wewnątrz wozu.

– Do Radości. Pani Palewski chce na pewno odpocząć. A pan? – porucznik zwrócił się do Podkowińskiego.

– Nie wiem. To zależy od pani. Jeżeli chce pani ze mną porozmawiać, to jestem do dyspozycji.

– Pardon? – panna Palewski otrząsnęła się na chwilę z zamyślenia. – A tak, tak... Ale może raczej jutro. Jestem taka zmęczona...

Przez całą drogę nikt się już nie odzywał. Dziewczyna cały czas patrzyła w okno, ale sprawiała wrażenie, jak gdyby niczego nie dostrzegała. Różycki chwilami ją obserwował. Siedziała nieruchomo, na nic nie reagując. Kiedy Podkowiński wysiadł przy Nowym Świecie, nawet nie odpowiedziała na jego pożegnanie.

Gdy już dojechali na miejsce, wysiadła i bez słowa dała się odprowadzić do domu. Różycki wysłał dyżurującego tego dnia w willi sierżanta Kubickiego do Popielowej, aby oznajmić jej, że przyjechała córka profesora.

Gospodyni zjawiała się po kilkunastu minutach i natychmiast przygotowała pokój. Panna Palewski chodziła po mieszkaniu, przyglądając się meblom i książkom, jakby od nich chciała się dowiedzieć, jak żył jej ojciec. Potem usiadła przy stole w jadalni i zapaliła papierosa. Kiedy porucznik wszedł tam w chwilę później, spora kupka popiołu leżała na śnieżnobiałej serwecie.

– Nie będę już pani dzisiaj męczył – powiedział Różycki.
– Odwróciła się. – Przyjedziemy tu jutro. Wtedy poproszę panią o chwilę rozmowy. Teraz wszystkim się zajmie pani Popielowa. Nie musi się pani o nic martwić. Ja przyjadę tutaj jutro przed południem. Na noc zostanie tylko nasz sierżant. Będzie pani raźniej i bezpieczniej.

– Tak – zgodziła się. Różycki podejrzewał, że nawet nie usłyszała, co do niej powiedział. – Czy nie ma tu gdzieś odrobiny whisky? – zapytała po chwili. – Czuję się fatalnie. To wszystko jest takie okropne.

– Zdaje się, że ojciec pani trzymał alkohole w gabinecie. Zaraz sprawdzę. – Różycki wyszedł. Po chwili powrócił, trzymając w ręku butelkę i szklaneczkę.

– Niech pan się ze mną napije. Bardzo pana o to proszę – powiedziała Betsy Palewski i sama wyszła po drugą szkla-

neczkę.

Kiedy wróciła, machinalnie postawiła przyniesione naczynie przed porucznikiem i ciężko opadła w fotel.

Siedzieli naprzeciwko siebie, popijając w milczeniu. Różycki czuł się nieswojo. Nie potrafił być pocieszycielem. Zresztą wszelkie słowa wydawały się być tu nie na miejscu, toteż gdy po kilkunastu minutach pojawiła się w drzwiach Popielowa i zapowiedziała, że obiad będzie gotów najdalej za dziesięć minut, skwapliwie skorzystał z okazji, by pożegnać dziewczynę i wyjść.

– Jakaś pani poszukiwała was, poruczniku – zameldowano Różyckiemu, gdy mijał pokój oficera dyżurnego. – Dzwoniła. Nie więcej niż pół godziny temu. Pytała o oficera prowadzącego sprawę profesora Palewskiego. Nie chciała podać nazwiska. Powiedziała, że zadzwoni jeszcze raz.

– Dziękuję. – Różycki wszedł do gabinetu i usiadł ciężko w fotelu. Miał już zagłębić się w wydobyte z biurka akta, gdy zadzwonił stojący na biurku telefon.

- Słucham – Różycki podniósł słuchawkę.
- Poproszę porucznika Różyckiego.
- Jestem przy aparacie.
- Czy to pan prowadzi śledztwo w sprawie profesora Palewskiego?
- Tak, to ja.
- Tak myślałam. Poznałam pana po głosie.
- Przepraszam, a z kim mam przyjemność?
- Mówi Łucja Stasiak. Był pan u mnie dwa dni temu.
- Tak, pamiętam.
- Proszę pana, jest taka sprawa, ja bym chciała panu coś powiedzieć.
- W sprawie Palewskiego?
- Tak. Ale nie przez telefon.

- Rozumiem. Czy mogłaby pani spotkać się ze mną dzisiaj?
 - Tak. Ale pod warunkiem, że to będzie zaraz. Ja mam tylko godzinę czasu. Sam pan potem zrozumie dlaczego.
 - Dobrze. Gdzie pani się teraz znajduje?
 - Jeszcze u siebie w domu. Ale tutaj nie możemy rozmawiać.
 - Wyślę po panią samochód.
 - Dobrze. Wolałabym jednak nie czekać na niego tutaj w domu. Będę w kawiarni „Pod skrzydłami”, Wie pan, gdzie to jest? To niedaleko ode mnie. Jeden przystanek.
 - Wiem, wiem. No, dobrze. Czy zdąży pani tam dotrzeć za dziesięć minut?
 - Za piętnaście. Muszę się ubrać.
 - Rozumiem. Przyjedzie po panią pewien młody człowiek. Będzie miał na sobie zieloną, sportową kurtkę, a w rękę „Życie Warszawy”.
 - Do widzenia. – Łucja Stasiak odłożyła słuchawkę. Różycki wybiegł z pokoju.
 - Gdzie jest Broniek Pawłowski? – krzyczał widząc na korytarzu sierżanta Kubickiego. Kubicki odwrócił się zaskoczony.
 - Nie wiem, czy on czasem nie poszedł już do domu. Jeżeli nie, to może być w kantynie.
 - Przecież miał jeszcze nie wychodzić. Cholera! Szukajcie go tu na piętrze, ja pójdę do kantyny.
 - Panie poruczniku, ale ja miałem jechać zmienić Koleczyka.
 - Jeszcze zdążycie. Znajdźcie mi natychmiast Bronka Pawłowskiego. – Porucznik pobiegł dalej korytarzem.
- Zbiegł po schodach do podziemia i pchnął drzwi kantyny. Światło paliło się tylko koło bufetu, w odleglejszych zakątkach sali było ciemnowo. Obszedł ją całą dookoła, zaglądając każdemu w twarz.
- Szukasz mnie? – sierżant Pawłowski stanął za nim ci-

cho niczym duch.

– No, nareszcie. Gdzie ty się podziewasz?

– Cały czas byłem u siebie. Dopiero przed dziesięcioma minutami przywlokłem się tu, by wypić kawę.

– Chodź – powiedział Różycki. – Weźmiesz natychmiast samochód i pojedziesz na Ochotę do kawiarni „Pod skrzydłami”. Wiesz, gdzie to jest?

Pawłowski skinął głową.

– Będzie tam na ciebie czekać Łucja Stasiak. Przywiesz ją tu.

Sierżant spiesznie ruszył ku wyjściu. Różycki powoli wrócił do gabinetu.

Minęły trzy kwadranse. Różycki denerwował się coraz bardziej. Próbował wykorzystać ten czas na ułożenie planu działania, ale świadomość, że oto ma otrzymać jakieś nowe dane, o których nie ma jeszcze pojęcia, przeszkadzała w uporządkowaniu zdobytych dotychczas informacji. Tymczasem Pawłowski nie wracał. W czasie, który minął od jego wyjazdu, można było trzykrotnie dojechać do umówionego miejsca i wrócić. Wieczorem ruch nie był już przecież tak duży. Co też mogło się stać? – gorączkował się porucznik, chodząc tam i z powrotem po pokoju. Po raz setny podchodził już do okna, gdy zadzwonił telefon. Różycki rzucił się do biurka.

– Sierżant Pawłowski melduje się... – głos dochodził gdzieś z daleka. W słuchawce trzeszczało coś i burczało. – Jej tu nie ma. Czekam już pół godziny.

– Byłeś też w restauracji?

– Wszędzie. Nie ma jej nigdzie... Ani w kawiarni, ani w restauracji. Co mam robić?

Różycki zawahał się.

– Poczekaj jeszcze z pół godziny i wracaj – powiedział. – Tylko na miłość boską nie przegap jej.

Pawłowski wyłączył się. Różycki usiadł w fotelu i wyciągnął papierosy. Wyjął jednego i zaczął powoli, systematycznie go przypalać. Czynność ta działała na niego uspokajająco.

Nagle rzucił papierosa do popielniczki i chwycił za telefon. Wykręcił numer domowy Łucji Stasiak. Czekał długo, słuchając monotonnego sygnału. Nikt telefonu nie odebrał.

– Jesteś pewien, że jej nie przegapiłeś?
– zapytał porucznik.

Pawłowski pokręcił przecząco głową. Dojeżdżali już do Radości. Samochód skręcił w boczną drogę i zatrzymał się przed willą. W drzwiach powitał ich Kolczyk.

– Znów był ten facet – powiedział.

– Ten, co wczoraj?

– Tak.

– No i co?

– Wyjął coś ze skrzynki i uciekł, zanim zdążyłem wybiec z domu.

– Toś ciamajda.

– Ale, panie poruczniku. To trwało najwyżej dwie sekundy. Otworzył furtkę, sięgnął do skrzynki i już go nie było.

Betsy Palewski oczekiwała ich w jadalni. Na stole stał czajniczek z herbatą i cztery filiżanki.

– Proszę bardzo. Proszę usiąść – powiedziała, wskazując stojące przy stole krzesła.

Ubrana była w czarne spodnie i czarny golf. Twarz miała nadal smutną i zamyśloną, ale nie wyglądała już na tak zmęczoną jak poprzedniego dnia.

– Nie mam do pani wielu pytań – powiedział Różycki siadając. Łokciem potrącił pełną niedopałków popielniczkę. – Właściwie tylko jedno.

Betsy Palewski poruszyła się na krześle.

– Moje pytanie jest proste, choć wyda się ono pani, być może, nieco absurdalne. Czy tam, w Stanach, ojciec pani miał jakichś wrogów?

– Wrogów? Chce pan powiedzieć, że ktoś stamtąd mógłby przyjechać tu po to, aby go zamordować? Przecież to bez-

sens. Poza tym nie miał wrogów. Jego wszyscy lubili. Był niezwykle czarujący. Oczywiście, jego sława powodowała pewne zawiści w środowisku naukowym, ale przecież dla takich rzeczy się nie morduje. Zresztą nawet ci ludzie, którzy jeżeli nawet trochę mu zazdrościli, byli w gruncie rzeczy jego dobrymi przyjaciółmi. On nad wszystkimi górował. Podziw często łączy się z zazdrością. To jest chyba normalne, ludzkie. Ale jako człowieka lubili go wszyscy, bez wyjątku, o ile wiem. Pamiętam, jak go żegnali. Jeszcze na dworcu wiele osób próbowało wybić mu ten pomysł z głowy. Sam niech pan pomyśli. W jego wieku wracać tutaj! Nawet ja, która jego racje rozumiałam znacznie lepiej niż jego znajomi, odradzałam mu ten wyjazd. Przede wszystkim nie chciałam mieć go tak daleko od siebie. Mówił, że będę go odwiedzać. Ale cóż to znaczy być ze sobą przez dwa tygodnie raz na dwa lata! Strasznie to przeżyłam, chociaż on o tym nawet nie wiedział. Ciągłe tylko powtarzał, że w Polsce będzie miał spokój, że wreszcie napisze coś poważnego. Jak gdyby dotąd pisywał rzeczy niepoważne. I na co wyszło? Czułam, że nic dobrego z tego nie będzie. – W oczach panny Palewskiej pojawiły się łzy. – No niech pan sam powie, na co mu to było? Przyjechał, by zginąć...

– Tego chyba nie mógł przewidzieć – zauważył porucznik.

Panna Palewska nie zareagowała.

– Po co on się tu pchał? – Westchnęła ciężko i zamilkła, jakby ten nagły potok wypowiedzianych słów zmęczył ją zupełnie.

Wyciągnęła z paczki nowego papierosa i zapaliwszy go od niedopałka, który trzymała w dłoniach, wsadziła do ust. Piękna i zamyślona, siedziała z oczyma zatopionymi w przestrzeń, odpowiadając lakonicznie na pytania Rózyckiego dotyczące pogrzebu i spraw organizacyjnych. – Umówiłam się z panem Podkowińskim na dzisiaj po południu – powiedziała, kiedy zapytał, czy pomyślała o zabezpieczeniu rękopiśmiennej spu-

ścizny profesora. Widać było, że mówienie ją męczy.

Różycki podziękował jej za rozmowę, pożegnał się i wyszedł przed dom,

– Nawet ten szmal jej nie cieszy. – Pawłowski kopnął leżący na ścieżce kamień.

Różycki nie odpowiedział.

– Dokąd teraz? – zapytał Pawłowski, otwierając drzwi samochodu.

– Komenda – odpowiedział porucznik, przyglądając się chmurom.

– Łucja Stasiak przy aparacie – głos w słuchawce zabrzmiał niepewnie.

– Już się bałem, że coś się pani stało. Dobrze, że pani dzwoni.

– Ja nie mogę długo rozmawiać. Potem wszystko panu wyjaśnię. O drugiej mogę być na dworcu Śródmieście. Jeżeli pan może. Uprzejmie przepraszam za wczoraj. Wszystko panu wytłumaczę.

– Dobrze – zgodził się Różycki – tylko niech pani postara się tam być.

– Na peronie w kierunku zachodnim. O drugiej.

– Dobrze, przyjdę – powiedział porucznik, ale połączenie zostało przerwane, zanim skończył zdanie. Spojrzał na zegarek. Minęło wpół do pierwszej. – To ta Stasiak – wyjaśnił Pawłowskiemu.

Sierżant podniósł głowę znad biurka.

– Mam po nią jechać? – zapytał.

– Nie, sam się z nią spotkam. Zdaje się, że jest w trudnej sytuacji. Skontaktuj się natomiast z Potterem oraz z Bibi Kowalczyk i zaproś ich w moim imieniu na dzisiejsze popołudnie, każde oczywiście o innej godzinie. Gdyby któreś nie mogło, to na jutro.

Zegar dworcowy wskazywał drugą dziesiątą. Różycki od

piętnastu minut, rozglądając się bacznie przechadzał się po peronie. Pociągi podjeżdżały co chwila, tłum wlewał się do niech i wylewał. W takim rozgardiaszu łatwo się było zgubić. Nagle w wejściu ukazała się młoda, niewysoka kobieta w zielonym płaszczu i kapeluszu. Porucznik rozpoznał ją od razu, chociaż jej twarz, pokryta makijażem, była bardzo zmieniona. Podeszła do niego szybkim krokiem i zaproponowała, aby przeszli do poczekalni. Była zadyszana. W rękę trzymała dużą, wypchaną torbę.

– Bardzo pana przepraszam za to spóźnienie i za wczoraj – powiedziała, odzyskując powoli oddech – ale ja naprawdę nie mogłam. Wychodząc, spotkałam go na ulicy. Siłą zaciągnął mnie do domu i jeszcze pobił.

– Kto?

– No, jak to kto? Bielecki. Wszystko przecież przez niego. Ale zaraz panu opowiem po kolei. Przede wszystkim chciałam panu wczoraj powiedzieć, że ja wtedy skłamałam, bo ja Palewskiego znałam. Tylko przy nim nie mogłam mówić, to raz, a dwa, że się tak przestraszyłam, jak pan przez telefon powiedział o śmierci Palewskiego, że całkiem zgłupiałam i pewnie gdyby nawet Zenka nie było, to też bym skłamała. Dopiero później ochłonęłam i pomyślałam sobie, że przecież pan prędzej czy później i tak się dowie, że to ja dzwoniłam, i jeszcze będę z tego mieć nieprzyjemności.

– Bardzo słusznie. A jak dawno poznała pani Palewskiego?

– Niedawno. Dokładnie to już sobie nie przypominam. Jakiej trzy, cztery tygodnie temu. Byłam z Zenkiem w „Melodii”, no, wie pan, w tej, co są dansingi. Palewski przyszedł tam bardzo późno, chyba nawet po dwunastej. Od razu zwróciłam na niego uwagę, bo to taki starszy przystojny pan. Wypił parę kieliszków, coś tam pogadał z barmanem, no a potem odwrócił się i rozejrzał po sali. Kiedy zaczęli grać, podszedł do naszego stolika i zapytał, czy może ze mną zatańczyć, I to nawet nie zwrócił się do Zenka, ale do jego kolegi. Byliśmy we czworo,

to znaczy ja, Zenek, jego kolega i dziewczyna tego kolegi Palewski nie wiedząc, z którym jestem, zwrócił się do tamtego. Zenek już wtedy się rozsierdził, że on nie jego o pozwolenie pyta. Nawet coś Palewskiemu powiedział, no, ale w końcu się zgodził. Zresztą był już pijany. W ciągu wieczora Palewski tańczył ze mną kilka razy. Z innymi też. Ale ze mną najwięcej. No i wie pan, jak to jest w tańcu, wyszło na to, że zapytał, czy nie mogłabym się z nim spotkać. Myślałam, że on żartuje, ale powiedział, że mówi poważnie. No to w końcu się zgodziłam i umówiliśmy się na następny dzień. Zenek o tym oczywiście nie wiedział, ale widać utkwilo mu w pamięci, że Palewski się mną za bardzo interesował, bo jeszcze tego samego wieczora mi to wymawiał. Niby żartem, ale właściwie to był zły. I potem rano, jak wytrzeźwiał, przypomniał sobie o tym i mnie wypytywał, a co to za jeden, a co mi w tańcu opowiadał. I musiał, choroba, coś wyczuć, bo mnie zapytał, czy nie jestem z nim czasem umówiona. Więc powiedziałam, że nie. No, a z Palewskim oczywiście się spotkałam. Imponowało mi, że taki pan chce się ze mną spotykać. Bo w końcu kim ja przy nim jestem? Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że to taki wielki uczony, ale czułam z samego jego zachowania, że to nie byle kto. I wie pan, taki był dla mnie zawsze miły i grzeczny, chociaż on profesor, a ja prosta dziewczyna. Bardzo mnie tym ujął. Najpierw zaprosił mnie na obiad do restauracji, potem raz na kawę, no i w końcu przyszliśmy kiedyś do mnie, jak wiedziałam, że Zenka na pewno nie będzie. Bo Zenek, wie pan, pracuje na pół etatu w MZK, żeby mieć jakieś papiery, a oprócz tego prowadzi różne interesy. Pieniądzy oczywiście to jemu nie brak i w ogóle nie musiałby pracować, gdyby nie to, że to teraz źle widziane. Doszedł więc do wniosku, że lepiej gdzieś się zaczepić. Zresztą nie ma tak źle, za te pół etatu dostaje prawie tyle co ja za cały. Więc kiedy on miał te godziny, co jeździł autobusem, wtedy wiedziałam, że go na pewno nie będzie, i Palewski mógł spokojnie do mnie przychodzić. Raz tylko autobus się zepsuł czy stało się coś innego i on przy-

szedł, kiedy tamten akurat był u mnie. Myślałam, że umrę ze strachu. Ale udawałam, że mnie nie ma, chociaż o tej porze zawsze jestem. Musiałam potem godzinami tłumaczyć się przed Zenkiem. Zresztą i tak chyba nie uwierzył. Zrobił się podejrzliwy i ciągle mnie wypytywał, ale ja udawałam, że nic nie ma. Czuł jednak, że coś nie tak, bo mu ta sprawa nie dawała spokoju. Nie wiedział, kto to jest, bo już o tym dansingu w „Melodii” dawno zapomniał, ale czuł, że się z kimś spotykam. Raz to nawet zrobił mi awanturę, chociaż nie miał żadnych przeciwko mnie dowodów. „To ja ci pieniądze daję, ty dziwko – krzyczał – a ty się puszczasz!” No, fakt, daję mi czasem pieniądze, ale przecież sam z siebie mi daje. Ja go o to nie proszę. Dlaczego wymawia? Był zresztą wtedy pijany. Zawsze, jak sobie popił, to go zazdrość o mnie chwytala. Kiedyś w jednym lokalu to nawet pobił takiego żołnierza, co się do mnie przystawiał, zresztą tylko tak na żarty. Wie pan... jak to na dansingu. A ten nic, tylko szczęki zacisnął, wstał od stolika i jak trzasnął tego żołnierza po zębach, to tamten tylko się zatoczył i upadł w kąt sali. Koledzy do niego podlecieli, zaczęli się odgrażać, że Zenka pobiją, bo on niby nie umie się bawić. No, taki on, proszę pana, jest.

– A czy Palewski dawał pani pieniądze?

– Dawał. Ale robił to tak, że nigdy nie poczułam się urażona. Mówił, że to prezent, że on chce mi pomóc, a w ogóle nie ma o czym mówić. Czasem wsadzał mi do kieszeni, tak że w ogóle nie wiedziałam kiedy i dopiero później zauważałam, że coś mam za dużo. Raz nawet dał mi dolary. Ale zawsze robił to tak delikatnie, nie tak jak tamten. Szykowny był pan i zawsze umiał się znaleźć. Czasem go pytałam, co mu się we mnie podoba. Na to on odpowiadał, że jestem bardzo piękna i mam taką oryginalną słowiańską urodę. Często tak mówił. Ja w to i tak nie wierzyłam. Nie jestem głupia i wiem mniej więcej, co jestem warta, a on przecież różne damy w tej Ameryce musiał mieć, bo jemu każda by uległa. Co do tego nie ma wątpliwości. No, ale zawsze to przyjemnie, że tak mówił, bo mógł

przecież tego nie robić i na to samo by wyszło. Ale nie on. Och, mówię panu, co to był za człowiek! Chociaż starszy już wiekiem, to ja bym go na żadnego młodzika nie zamieniła...

– A czy profesor o istnieniu Bieleckiego wiedział?

– Wiedział. No, musiał wiedzieć.

– I co mówił?

– Nic. W ogóle o tym nie wspominał. Aż sama go raz o to zapytałam. Powiedział mi, że to tylko moja sprawa, a on nie może mi niczego narzucać, bo i tak jest mi wdzięczny, że ja jego, starucha, chcę oglądać na oczy. Tak powiedział! Mało się wtedy nie popłakałam. Ja już nawet mu powiedziałam, wtedy czy kiedy indziej, że się z Zenkiem rozejdę. I rzeczywiście, jak Zenek kiedyś mnie skrzyczał i zabierał się do bicia – już nie pamiętam, o co wtedy poszło – to mu powiedziałam, żeby się wynosił i że na oczy go nie chcę widzieć. Stanął wtedy jak wryty, jakby go kto w pysk trzasnął. Tego się widocznie po mnie zupełnie nie spodziewał. Wykręcił mi rękę i powiedział, że jeżeli go rzucę, to on mnie zabije. Od tego czasu był już prawie pewien, że mam innego kochanka. „Inaczej byś mnie nie chciała porzucić” – mówił. Ciągle mnie wypytywał i siłą chciał mnie zmuszać, żebym mu wszystko powiedziała. A ja oczywiście nic. Zaczął mnie śledzić. Nawet nie wiem, czy on w końcu nie odkrył kto to, bo jak panowie wtedy przyszli, a ja powiedziałam, że nie znam Palewskiego, to on zaraz potem, po wyjściu panów, zapytał mnie, dlaczego skłamałam. A potem powiedział, że milicji to mogę kłamać, ale jemu to nie. I mówił tak, jakby był pewien, że wszystko tak było, jak myślał. Naubliżał mi wtedy od najgorszych, a nawet trochę, mnie zbił i zapowiedział, że teraz to on mnie przypilnuje.

– Czy myśli pani, że Bielecki, wiedząc o pani stosunku z Palewskim, byłby zdolny go zamordować?

– Bez dwóch zdań. Gdyby wiedział, to on by już dawno to zrobił.

– No, a czy, pani zdaniem, mógł to zrobić tego wieczora, kiedy pani dzwoniła do willi?

– Tego to ja już nie wiem. Co on robił, zanim do mnie przyszedł, gdzie się pętał, tego już nikt się nie dowie.

– A może był w pracy w tym czasie?

– Może i był! Od jakiegoś czasu on mi już nie mówił, kiedy idzie do pracy, i robił naloty, żeby mnie przyłapać na gorącym uczynku. Pod koniec to był, mówię panu, już zupełnie chory. No i po tej wizycie panów, wtedy wieczorem, dopiero się na całego zaczęło. Zabronił mi w ogóle wychodzić z domu – tylko do pracy i z powrotem. Bez przerwy dzwonił, żeby sprawdzić, czy jestem, i siłą zabrał mi jeden klucz, żeby móc wejść o każdej godzinie dnia i nocy. Parę razy mnie bił, zwłaszcza w nocy, kiedy sobie podpił. Wczoraj powiedział, że ma zmianę w MZK i wyszedł. I mówię panu, zrobił to tak, jakby się przypadkiem wygadał. Więc ja pomyślałam, że to prawda. No to łapię za telefon i dzwonię na komendę, żeby pana odszukać. Ubrałam się i idę. Nie zdążyłam wyjść na ulicę, a ten wyskakuje zza węgła i łaps mnie za rękę. Nic nie mówi, tylko siłą mnie ciągnie do domu. Tak się przestraszyłam, że chciałam krzyczeć i wzywać pomocy. Ale pomyślałam tobie, że nie ma powodu robić zamieszania na ulicy. Jak mnie tak ciągnął na górę, ułożyłam sobie, co mu powiem: że szłam do sklepu. W domu akurat nie było nic do jedzenia. Ale gdzie tam, nawet mnie nie zapytał. Ledwo weszliśmy, uderzył mnie pięścią w twarz. O, niech pan zobaczy, jest jeszcze ślad. Przypudrowałam go tylko, bo przecież nie mogłam się z takim siniakiem pokazać na ulicy...

– Czy Palewski był u pani tego wieczora, kiedy przyszliśmy?

– Nie, bałam się zaprosić go do siebie. Byliśmy tylko w kawiarni.

– A po co dzwoniła pani wieczorem?

– Ustaliliśmy, że on przyjdzie następnego dnia. I dopiero w domu przypominałam sobie, że zapowiedział się Zenek. Chciałam odwołać.

Pociąg wtoczył się z hukiem na stację, zagłuszając na

chwilę słowa Stasiakówny. Poderwała się, ale po chwili usiadła znowu.

– To nie ten – powiedziała. – I dzisiaj bym nie wyszła. Nic sobie nie da powiedzieć. Tylko że są imieniny mojej mamy. I od dawna było wiadomo, że mam do niej pojechać, do Żyrardowa. To mi pozwolił. Ale i tak trzęsę się ze strachu, czy jego tu gdzieś nie ma. Co pół godziny grozi, że mnie zabije, jak z kimś mnie zobaczy. Już nie mogę tego wytrzymać. Niech pan coś z nim zrobi, przecież on i mnie może zarżnąć jak kuraka.

– Jednym słowem, sądzi pani, że to on zamordował profesora?

– No, a kto inny, jak nie on? Pewności nie mam, ale kto by takiego dobrego człowieka i uczonego mógł zamordować? Tylko taki bandyta, dla niego nic świętego nie istnieje. O, jest mój pociąg. Muszę lecieć. Niech pan tylko, na Boga, nie dzwoni do mnie do domu. Jakby pan coś chciał, to ja pracuję w spożywczym na Dickensa. Niech pan udaje konwojenta. Tak żeby nikt się nie poznał. On ostatnio i tam przychodzi.

– Bibi Kowalczyk czeka na korytarzu – zameldował sierżant Pawłowski, wchodząc do pokoju.

Różycki wstał zza biurka, podszedł do drzwi i szeroko je otworzył. Aktorka siedziała na krześle, rozglądając się dookoła ze znudzoną miną.

– Dzień dobry – Różycki skłonił się lekko – proszę, pani wejdzie.

Bibi Kowalczyk poruszyła się niespokojnie.

– A, to pan... – powiedziała. – Wie pan, dziwnie się tu czuję, korytarz taki pusty...

Weszli do gabinetu.

– Ponuro tu u was. Jak pan może cały dzień tak wytrzymać?

– No cóż, biuro jak każde inne. Czy widziała pani kiedyś

biuro nie ponure?

– Teatr...

– Ba, gdyby tak wszyscy mogli pracować w teatrze, byłoby pewnie weselej na świecie...

– Pan w każdym razie mógłby. Ma pan wszystkie warunki – głos, aparycję...

Różycki mimo woli zmieszał się. Już chwilę przedtem czuł, że aktorka zmierza do tego, aby go w jakiś sposób rozbroić. Był zły na siebie, że dał się wciągnąć w zaaranżowaną przez nią sytuację.

– Pani domyśla się, po co tu panią wezwałem? – powiedział tonem urzędowym.

– Chyba nie po to, żeby mnie aresztować? – Kowalczyk uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– No, kto wie, kto wie – Różycki uśmiechnął się także. – Zdarza się, że muszę czasem aresztować osoby, którym w czasie śledztwa okazywałem wiele sympatii. Jak pani na przykład. – Wykorzystał okazję, aby zrewanżować się za tamten komplement, co miało tylko ten skutek, że spojrzała na niego z ledwo skrywanym uśmiechem, bynajmniej nie zmieszana. – Chwilowo nie mam jeszcze jednak dostatecznych podstaw, aczkolwiek stwierdziłem z przykrością, że chciała mnie pani okłamać, i to w dodatku w sposób niezbyt zręczny.

– Ja? Ja chciałam pana okłamać?

– Niestety. Odczułem to jako osobistą przykrość, tym bardziej że wszystko, co pani wtedy mówiła na temat rzeczy nie związanych bezpośrednio ze sprawą, trafiło mi – że tak powiem – do przekonania. Odniosłem wrażenie, że była to prawda. Niestety, iluzja trwała niedługo.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. – Uśmiech znikł z twarzy aktorki. – Czyżbym zeznała coś niezgodnego z prawdą?

– Tak. I pani sama dobrze o tym wie. Przedstawienie w dniu, kiedy Palewski został zamordowany, było odwołane, a ogłoszenie na ten temat wywieszono w gablocie, i to w takim

miejscu, że aż pchało się w oczy. Po prostu nie sposób było go przeoczyć.

– Ach, o tym pan mówi... – Twarz aktorki rozpozgodziła się zupełnie. – Gdyby przeczytał pan to ogłoszenie dokładniej, dowiedziałby się pan z niego, że przedstawienie odwołane było z powodu próby generalnej. Nie było przedstawienia, ale była próba, co w końcu sprowadza się do tego samego – do tego mianowicie, że byłam zajęta w teatrze. Cóż z tego, że powiedziałam panu o przedstawieniu zamiast o próbie? Różnica nazwy. Na generalnej muszę już grać prawie tak, jak na premierze, a może nawet lepiej. W mojej świadomości generalna to tak jak przedstawienie. – Zamilkła, uniosła głowę i spojrziała na Różyckiego.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, przypatrując się jej uważnie.

– Widzę, że jest pani niepoprawna – powiedział.

– A w dodatku uważa mnie pani za ostatniego cymbała. Chwileczkę – uniosł rękę, nakazując jej tym gestem milczenie – niech pani nie zaprzecza. Niewątpliwie niezwykle nisko musi pani szacować mój poziom umysłowy, jeżeli sądzi pani, że nie pomyślałem o tym, aby zadzwonić do dyrektora i zapytać, o której skończyła się generalna. Otóż ten pan poinformował mnie niezwykle uprzejmie, że w dniu dwudziestego drugiego listopada próba generalna trwała od godziny szesnastej do dwudziestej, co w każdej chwili można sprawdzić w dokumentacji teatru. Zakładając nawet, że na przebranie się i inne sprawy potrzebowała pani minimum dwudziestu minut, przed wpół do dziewiątej wyszła pani z teatru, który jak dobrze wiemy, znajduje się przy ulicy Foksal, a więc w odległości około trzystu metrów od przystanku autobusu linii C. Autobus ten, przypominam pani, jeździ do Radości. Śmierć profesora Palewskiego nastąpiła, jak wykazały nasze ekspertyzy, między godziną dwudziestą czterdzieści pięć a dwudziestą pierwszą piętnaście. Sama chyba pani przyzna teraz, że jej alibi jest bezwartościowe.

Spokój znikł z twarzy Bibi Kowalczyk. Otworzyła torebkę

i wyciągnęła z niej paczkę francuskich papierosów. Różycki pospieszył z zapalniczką.

– To znaczy, że co? – zapytała, wypuszczając kłęb dymu.

– Chce pan po prostu powiedzieć, że to ja zamordowałam Palewskiego, tak?

– Tego wcale nie powiedziałem. Gdybyśmy mieli zwracać się do prokuratora o wydanie nakazu aresztowania na podstawie tak wątpliwych dowodów, wiele niewinnych osób mogłoby znaleźć się za kratkami. Jednakże niech sama pani rozważy, jest pani spośród warszawskich przyjaciół profesora jedyną osobą, która będzie po nim coś dziedziczyć... Aha, przy okazji mogę panią poinformować, że to wiadomość sprawdzona. Palewski zapisał pani sumę piętnastu tysięcy dolarów, sumę, powiedzmy sobie, w naszych warunkach niebagatelną.

– Na twarzy aktorki nie poruszył się ani jeden mięsień. – Otóż wynika z tego, że jest pani jedyną osobą w kraju, by tak rzec, materialnie zainteresowaną w śmierci Palewskiego. Nie chcę przez to wcale powiedzieć, że pani tej śmierci sobie życzyła – zastrzegł się, widząc, że Bibi Kowalczyk znowu zbiera się do protestowania, – Ale w tej sytuacji brak alibi i próba wprowadzenia mnie w błąd dużo dają do myślenia. Sama chyba pani przyzna, że wszystko to wygląda nieco podejrzanie.

Aktorka siedziała zamyślona. Patrzyła w okno, stukając palcami w poręcz fotela.

– Czy naprawdę pan myśli – odwróciła się nagle – że ja mogłabym się połaszczyć na te pieniądze i zamordować go z tego powodu?

– Ależ ja nic takiego nie myślę! Tylko widzi pani, to, co ja sądzę o pani jako o człowieku, nie ma dla śledztwa najmniejszego znaczenia. Z poszukiwaniem mordercy jest jak z arytmetyką. Wszelkie opinie, jakie się ma o ludziach, względy psychologiczne, przypuszczenia i temu podobne sprawy nie mają tu po prostu żadnego znaczenia. Nie bierze się Ich pod uwagę, ponieważ nie dają całkowitej pewności. Liczy się tylko rachunek. Ja mogę mieć o pani jak najlepsze zdanie, może

wydawać mi się zupełnie nieprawdopodobne, żeby pani była morderczynią, a jednak dopóki będę miał wątpliwości, co pani robiła w dniu dwudziestego drugiego listopada między godziną dwudziestą a dwudziestą pierwszą piętnaście lub inaczej: dopóki nie dowiem się, że w tym czasie była pani zupełnie gdzie indziej niż w Radości, zmuszony będę brać panią pod uwagę w moich podejrzeniach. I dlatego proszę mi powiedzieć, co naprawdę pani robiła tamtego wieczora.

– No, cóż... Z teatru pojechałam do domu.

– Gdzie, jak pamiętamy, nie było nikogo, kto mógłby potwierdzić pani obecność.

Kowalczyk wahała się przez chwilę i spojrzała na Rózyckiego. Wyglądało, że chce powiedzieć coś zgryźliwego, ale się powstrzymała.

– Potem zadzwonili moi znajomi i zaprosili mnie na kolację do „Bristolu”.

– I zgodziła się pani?

– Tak. Przyjechali po mnie samochodem.

– O której to było?

– Mniej więcej za dwadzieścia dziewięć.

– No dobrze, a co to byli za znajomi?

– Tacy dwaj panowie z Włoch.

– Czy mogłaby mi pani podać ich nazwiska?

– Tak. Jeden z nich nazywa cię Luigi Crotta, a drugi miał na imię Federico. Jego nazwiska nie znam. Bo właściwie to moim znajomym jest tylko Luigi. Ten drugi natomiast jest jego przyjacielem.

– A gdzie ich można odnaleźć?

– Teraz to już nie bardzo. Oni wczoraj wyjechali z Polski

– To na jakiej podstawie ja mam pani uwierzyć, że tak istotnie było? Tym bardziej że raz już mnie pani okłamała.

– A czy to moja wina, że oni musieli wczoraj wyjechać? Nie mogłam przecież przewidzieć, że będzie ich pan potrzebował. A gdybym nawet mogła, to przecież nie byłabym w

stanie zmusić ich do odłożenia wyjazdu. Szczególnie że bardzo spieszili się do Paryża na jakieś handlowe spotkanie.

– Mogła pani natomiast nie okłamywać mnie za pierwszym razem. Wtedy był jeszcze czas, żeby tę wersję wydarzeń sprawdzić. Dlaczego właściwie nie powiedziała mi pani wtedy prawdy, jeżeli istotnie była pani na tej kolacji w „Bristolu”?

– Czy ja wiem?... Jakby to panu powiedzieć? – Poruszyła się w fotelu. – Bałam się, że pan sobie Bóg wie co o mnie pomyśli.

– Nie rozumiem. Co chce pani przez to powiedzieć?

– Mógłby pan na przykład uważać, że jako kochanka tak znakomitego człowieka jak Palewski nie powinnam spotykać się z innymi mężczyznami.

– Właściwie dlaczego? A poza tym cóż może mnie obchodzić, jak pani układa sobie swoje osobiste życie?

– Pan tylko tak mówi. Ale w gruncie rzeczy taka historia na pewno mi w oczach pana nie pomoże, zwłaszcza że byli to cudzoziemcy.

– Proszę pani, ja nie jestem księdzem, lecz oficerem milicji. Nie zamierzam osądzać pani z moralnego punktu widzenia, tym bardziej że kolacja z przyjaciółmi z zagranicy jest faktem nawet z moralnego punktu widzenia nienagannym. To pani sama sugeruje, iż mogłoby być przeciwnie. Ale nawet gdyby coś takiego było, mnie tak czy inaczej interesują wyłącznie fakty związane ze zbrodnią. Jeżeli miałaby pani na ten przykład alibi obciążające panią w oczach jakiegoś proboszcza, gdyby, no, nie wiem, poszła pani na przykład do łóżka z kimś innym wtedy, kiedy pani oficjalny kochanek był właśnie mordowany, i gdyby fakt ten można było sprawdzić, to zdarzenie to, na które krzywo patrzyłby nasz wyimaginowany proboszcz w moich oczach, przeciwnie, tylko by panią ratowało.

– Mówiłam, że będzie pan mnie posądzał o puszczanie się z cudzoziemcami. A stąd już wniosek prosty, że z Palewskim też byłam tylko dla pieniędzy.

– To pani mówi, nie ja – przerwał jej Różycki
– Pan tego nie powiedział, ale tak pan myśli. Jestem tego pewna.

– Wydaje mi się, że ta dyskusja nie ma sensu. Może pozwoli pani, że wnioski będę jednak wyciągał sam?

Bibi Kowalczyk nie odpowiedziała. Na jej twarzy pojawił się znowu, jak wtedy w teatrze, wyraz zniecierpliwienia i podenerwowania.

– Jednym słowem – ciągnął dalej porucznik – nie ma możliwości sprawdzenia, czy mówi pani prawdę... – przerwał, oczekując jakiejś reakcji z jej strony, ale ona widać postanowiła milczeć. – Hm, no dobrze, a o której wyszłicie państwo z restauracji?

– Nie wiem – odpowiedziała sucho – chyba przed dziesiątą.

– I co robiła pani następnie?

– Widzą, że pana ciekawość co do mego życia osobistego jest nie tylko profesjonalna. Przecież o tej godzinie nie mogłam już Palewskiego zamordować, skoro zginął między dwudziestą czterdzieści pięć a dwudziestą pierwszą piętnaście!

– Myli się pani. Życie osobiste innych ludzi nigdy mnie nie interesowało. Jest mi nawet w pewnym sensie przykre to, że ze względów zawodowych muszę niekiedy w nie wnikać. Pytałem dlatego, ponieważ szukam jakiegoś punktu zaczepienia, na którym można by było oprzeć pani alibi. Niekiedy z tego, co nastąpiło później, można wydedukować to, co stało się wcześniej.

– Powiedzmy. Zresztą nic mnie to nie obchodzi, po co to panu potrzebne. Nie mam się czego wstydzić. Zaprosiłam swoich znajomych do domu na kieliszek koniaku.

– Obu?

– Nie! Tylko jednego! – odpowiedziała drwiąco. – Cały czas pan zmierza do tego. żeby mi coś insynuować. Więc dobrze, powiem panu otwarcie, przespałam się z nim. Prędzej czy później i tak mnie pan o to zapyta. Nie mam nic do ukry-

wania. Może pan to ogłosić nawet w prasie, piętnując niewłaściwe prowadzenie się znanej aktorki. Gdy jej przyjaciel umiera, ona cynicznie idzie do łóżka z innym. A przy tym kto wie, czy sama tamtego nie zamordowała. Piękna historyjka. Jutro będzie ją znała cała Warszawa.

Różycki wykrzywił usta.

– Nie interesuje mnie, w jakim celu zaprosiła pani swego znajomego do domu, chciałbym natomiast wiedzieć, czy wtedy, gdy znalazła się już pani z powrotem w swoim mieszkaniu, ktoś do pani nie dzwonił? Albo może wpadła jakaś sąsiadka czy inna osoba.

– Nie. Nikt nie dzwonił.

– A przedtem? Zanim wyszła pani na tę kolację?

– Też nie.

Porucznik zamyślił się.

– Jednym słowem, nic mnie już nie uratuje. Nie mam alibi, więc jestem zbrodniarką. Czy tak?

– Niepotrzebnie się pani denerwuje. Jest pani osobą wystarczająco inteligentną, aby zrozumieć, że w tej sytuacji muszę panią zaliczyć do osób podejrzanych. Ale to oczywiście niczego jeszcze nie dowodzi.

– Śmieszne są te wasze dowody. Rozumowanie Jak w kiepskiej kryminalnej powieści.

– Czy Palewski miał jakieś zdjęcia? Może pokazywał je pani?

– Tak, oczywiście.

– Czy zapamiętała może pani, kogo te zdjęcia przedstawiały?

– Rodzinę, znajomych, studentów. Różne osoby. Ale głównie rodzinę.

– Były to zdjęcia luzem czy może wklejone do albumu?

– Albumu nie widziałam. Wszystkie były w dużym, wiśniowym pudle.

Porucznik znów się zamyślił.

– Czy mogę już iść? – Aktorka była wyraźnie zniecier-

pliwiona.

– Tak, oczywiście. Chciałbym jednak, aby pani nigdzie nie wyjeżdżała. Być może, będę musiał się z panią w niedługim czasie skontaktować.

Bibi Kowalczyk wstała i odwróciła się.

– Odprowadzę panią do szatni. – Różycki otworzył drzwi i wyszedł za aktorką na korytarz.

Zeszli schodami do szatni. Różycki wziął od szatniarki kożuch aktorki i podał go jej.

– Śliczny ma pani kożuch – powiedział, przyglądając się wzorzyście haftowanej skórze.

Nie odpowiedziała. Zapinała guziki w milczeniu. Potem jednym ruchem wyciągnęła spod kołnierza jasne włosy i potrząsnęła głową tak, aby rozsypały się równo we wszystkich kierunkach. Różycki przyglądał się jej, mając niejasne wrażenie, że kiedyś już podobny moment przeżył. Niestety, ani rusz nie mógł przypomnieć sobie dokładnie, kiedy to było.

– Żegnam pana – powiedziała Bibi Kowalczyk, zapinając ostatni guzik. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Porucznik ruszył korytarzem z powrotem. Gdy był już na schodach, raz jeszcze wyteżył pamięć, aby przypomnieć sobie, co mogło być źródłem niezrozumiałego wrażenia, którego przed chwilą doznał. Bezskutecznie.

Bzdura – pomyślał, wchodząc do gabinetu.

W fotelu koło biurka siedział już Roman Potter. Usta miał zaciśnięte, a z oczu wyzierała niechęć. Kiedy Różycki ukazał się w drzwiach, wstał bez słowa i w milczeniu uklonił się porucznikowi.

– Dziękuję, że pofatygował się pan do nas – rzucił Różycki na powitanie.

– Och, doprawdy drobiazg – przerwał mu Potter. – Mordując, człowiek przygotowuje się na to, że będą go ciągać na przesłuchania.

– Chodzi o to – Różycki bez reakcji przełknął uwagę – że w pana zeznaniach stwierdziliśmy pewne nieścisłości. Pomi-

jam już nawet to, że kwartet imienia Wieniawskiego nie jeździ tak często na występy pańskim samochodem, jak starał się pan mi to zasugerować przy naszym poprzednim spotkaniu. No, ale cóż, słowo „często” nie jest, jak wiadomo, zbyt precyzyjne, i to, jakie znaczenie mu się przypisuje, zależy w dużej mierze od indywidualnego uznania. Dlatego nie ta różnica w ocenie częstotliwości wyjazdów kwartetu zwróciła moją szczególną uwagę. Chodzi o coś znacznie ważniejszego. Powiedział pan w czasie naszej wizyty w pańskim mieszkaniu, że kiedy wieczorny występ w dniu dwudziestego drugiego listopada został odwołany, pozostał pan w Łodzi, co zaś do pana zajęć w tym czasie określił je pan w przybliżeniu, nie chcąc precyzować dokładniej, jako kręcenie się po mieście. Być może, nie użył pan takich słów, ale o to mniej więcej chodziło, prawda?

Potter skinął twierdząco głową.

– Otóż dowiedzieliśmy się z pewnych źródeł – ciągnął dalej Różycki – że gdy tytko ogłoszono wam, że wieczorny występ się nie odbędzie, wsiadł pan w samochód i zniknął. Przyzna pan, że niezupełnie zgadza się to z pana wersją.

– Dlaczego nie? Czyż nie mogłem kręcić się po mieście samochodem?

– Teoretycznie mógł pan. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, zważywszy, że nie było pana przez godzin co najmniej siedem, o ile nie dłużej.. Nikt bowiem nie wie, o której pan naprawdę wrócił. Ponadto, odłączając się od towarzyszy z zespołu zaanonsował pan im, że jedzie odwiedzić rodzinę zamieszkałą w jakiejś miejscowości pod Łodzią.

Potter siedział z zaciętym wyrazem twarzy. Lekko poczerwieniał

– Dlaczego pan nie odpowiada?

– Może mnie pan aresztować nawet zaraz, ale nie mam zamiaru się przed panem płaszczyć. Mam tego dosyć.

– Hm. Na razie nikt nie ma zamiaru pana aresztować. A to z tej prostej przyczyny, że nie ma ku temu dostatecznych podstaw...

– Sam pan powiedział – Potter przerwał Różyckiemu podniesionym głosem – te profesor otrzymał ode mnie list z pogroźkami Jest wobec tego oczywiste, że podejrzewacie przede wszystkim mnie

– Nigdy nie mówiłem, że list został wysłany przez pana. – Różycki wyciągnął paczkę papierosów, ale skrzypek odmówił zapalenia – Powiedziałem jedynie, że profesor Palewski otrzymał list z pogroźkami, list czyniący niedwuznaczną aluzję do znanych panu wydarzeń sprzed lat. Mógł go wysłać pan, ale mógł także, chcąc pana obciążyć, zrobić to ktoś inny. Nie wiem, skąd panu przyszło do głowy, że już uważam pana za mordercę.

– Wszystko Jedno. Mam tego dosyć. Może pan ze mną zrobić, co się panu podoba, ale nie powiem już ani słowa.

– Popelnia pan błąd...

– Nie panu o tym sądzić.

– Zaraz, może pozwoli mi pan przynajmniej dokończyć?

– Słusznie, nic już nie będą mówił.

– Nie o to przecież chodzi. Po co zaraz te skrajności?

– Mam chyba prawo odmówić zeznań?

– To może pan zawsze zrobić. Pytanie tylko, czy pan na tym skorzysta?

– Mój drogi panie, ja i tak już na niczym nie skorzystam, a zwłaszcza tutaj.

– Wydaje mi się, że podchodzi pan do całej sprawy od niewłaściwej strony.

– Powiedziałem już, że nie wam o tym sądzić. – Potter poderwał się i fotela, ale zaraz ponownie nań opadł i wtulił głowę w ramiona. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko, co dzieje się wokół niego, przestało go w ogóle obchodzić

Różycki zapalił papierosa odwołując moment wypowiedzenia następnego słowa. Miał nadzieję, że Potter, być może, sam się zreflektuje i zmieni charakter rozmowy, ale on siedział zagłębiiony w swych myślach, z ponurym wyrazem twarzy. Nie zwracał na porucznika najmniejszej uwagi.

– Zatem przejdźmy do faktów – powiedział po chwili nabyt przedłużającej się ciszy Różycki. – Czy może nam pan wyjaśnić, co pan rzeczywiście robił w dniu dwudziestego drugiego listopada między godziną szesnastą czterdzieści, kiedy to pożegnał pan swoich kolegów, a momentem, w którym pan wrócił do hotelu? Nie umiemy tej drugiej granicy określić dokładnie, wiadomo jednak, że powrót pana nie nastąpił przed dwunastą?

Potter ciągle siedział w milczeniu, nie podniósłszy nawet głowy

– Czy zdecydowanie odmawia pan zeznać? – zapytał Różycki.

– Pojechałem do rodziny.

– Gdzie mieszka pana rodzina?

– W Zduńskiej Woli.

– Czy jest to bliska rodzina?

– Brat mego ojca. Jeden z jego synów jest moim chrześniakiem. Właśnie wypadła jego urodziny. Chciałem zawieźć mu prezent.

– Jeżeli jest to pana stryj, to jak przypuszczam, nosi to samo co i pan nazwisko. Czy tak?

– Zgadza się.

– Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego pan nam o tym od razu nie powiedział? Przecież pana stryj czy ktokolwiek z jego rodziny mógłby potwierdzić, że spędził pan u nich wieczór, kiedy Palewski został zamordowany.

– Rzecz w tym, że nikt tego potwierdzić nie może.

– Jak to? Nie rozumiem.

– Nie było ich w domu.

– Nikogo?

– Nikogo. Musieli wyjechać gdzieś całą rodziną.

– Aha. Dlatego, kiedy przyszliśmy wtedy wieczorem, wymyślił pan naprędce inną historię?

– Nic nie wymyśliłem. W gruncie rzeczy nie powiedziałem panu niczego konkretnego. Owszem, chciałem coś skła-

mać, bo od razu wiedziałem, że prawda wyda się panu mocno podejrzana. I powiedziałem tak bez sensu... Dopiero później uświadomiłem sobie, że można moje słowa bardzo łatwo sprawdzić.

– No, dobrze – Różycki zgasił w popielniczkę papierosa – założmy, że to, co opowiedział nam pan dzisiaj, jest prawdą. Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego wobec tego wrócił pan do Łodzi tak późno? Zduńska Wola, o ile mi wiadomo, nie jest aż tak bardzo oddalona od Łodzi – porucznik wstał, podszedł do mapy i wskazał Potterowi małą kropkę na południowy zachód od Łodzi – aby podróż do niej i z powrotem zajęła panu ponad siedem godzin.

– Odległość ta wynosi około pięćdziesięciu kilometrów – powiedział Potter.

– Zgadza się – potwierdził porucznik i powrócił za biurko. – Pięćdziesiąt kilometrów można przejechać... Jaki pan ma samochód?

– Volkswagen.

– Otóż samochodem tej klasy drogę tę można przebyć, no powiedzmy, w półtorej godziny. I to bez pośpiechu. Ale prawdę mówiąc, wystarczyłaby nawet godzina. Założmy jednak, że potrzeba aż półtorej godziny – mógł się pan gdzieś zatrzymać, nabierać benzynę czy robić po drodze cokolwiek innego. Otóż zakładając nawet, że w Zduńskiej Woli poświęcił pan pół godziny na to, aby przekonać się, iż rodziny pana naprawdę nie ma, na wszystko razem – droga w jedną i w drugą stronę, czekanie – trzeba maksimum trzech i pół, no powiedzmy, czterech godzin. Tymczasem pana nie było ponad siedem godzin. Jak pan może to wyjaśnić?

– No, cóż... Sprawa jest prosta, jakkolwiek z góry wiem, że pan mi nie uwierzy. Po prostu myślałem, że oni wyszli gdzieś na krótko, do kina albo do znajomych, i postanowiłem czekać. Wyruszyłem stamtąd dopiero po jedenastej, kiedy już zupełnie straciłem nadzieję.

– No dobrze. A jak pan spędził ten czas oczekiwania?

Czy poszedł pan do jakiegoś lokalu, na przykład napić się czegoś albo zjeść? Przecież nie stał pan cały czas na dworze?

– Owszem, poszedłem do gospody, sądząc, że tam najwygodniej będzie poczekać. Zjadłem kolację i wypiliśmy herbatę, ale natychmiast wyszedłem. Było tylu pijaków, którzy ciągle mnie zaczepiali, te wolałem posiedzieć w samochodzie. Czytałem książkę.

– Czy osoba, która obsługiwała pana w tej gospodzie, mogłaby potwierdzić, że był pan tam istotnie?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Osobiście wydaje mi się to dość mało prawdopodobne. W końcu przewija się tam tyle ludzi.

– Hm – Różycki zamyślił się. – Jednym słowem, nie ma pan żadnego dowodu na to, że to, co pan dzisiaj opowiedział, jest prawdą?

– W końcu wyszło na moje.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Podejrzewa pan, że ja zamordowałem Palewskiego.

– Rozumuje pan doprawdy w sposób nazbyt uproszczony. Jest rzeczą chyba oczywistą, że nie mogę pana zupełnie pominąć w swoich podejrzeniach, zwłaszcza że jak z pana zeznań wynika, nie ma pan żadnego alibi. Sam pan chyba rozumie, że między godziną szesnastą czterdzieści a północą można było z powodzeniem dojechać nie tylko do Warszawy, ale nawet do Radości, zamordować tam Palewskiego i spokojnie wrócić do Łodzi. Palewski, jak wiemy, zginął między godziną dwudziestą czterdzieści pięć a dwudziestą pierwszą piętnaście. Do tego czasu mógł pan bez kłopotu dotrzeć do Warszawy. To oczywiście nie znaczy, że tak było istotnie. Jednakże jestem zmuszony zaliczyć pana do grona podejrzanych. Chyba że znajdzie pan kogoś...

– Wiem – przerwał mu Potter. – Kiedy jechałem do Zduńskiej Woli, w Pabianicach zatrzymał mnie patrol drogowy. Może oni mogliby potwierdzić? Kontrolowali mi światła...

– Zapłacił pan mandat?

- Nie.
- Wobec tego na nic to się nie przyda. Jeżeli nie było przewinienia, nie zanotowali numeru pańskiego samochodu.
- Pan mi nie wierzy? – Potter był zdenerwowany Najwyraźniej zaczynał się bać. Zerwał się i krzesła i stanął na środku pokoju. Różycki spojrzął w dół, Potter miał na nogach pionierki.
- Nie o to chodzi. Pana słowo po prostu nie może być dowodem. A poza tym, mam pewne podstawy, aby przypuszczać, że i tym razem pan skłamał
- No, tak – powiedział Potter – to już po mnie. Czy zaraz chce pan mnie aresztować?
- Raczej nie Natomiast chciałbym, aby wypożyczył mi pan swoje buty. Interesują mnie pana pionierki.
- W oczach Pottera było zdumienie, samo zdumienie.
- Nie rozumiem...
- Nic nie szkodzi. Mam nadzieję, że nie odmówi pan mej prośbie?
- Ależ... naturalnie... Nie rozumiem.
- Pojedzie z panem nasz człowiek, któremu przekaże pan wszystkie swoje buty na gumowych spodach. Oczywiście za dwa, trzy dni otrzyma je pan z powrotem.
- Potter opuszczał gabinet porucznika pełen wahań i niepewności. Towarzyszył mu młody sierżant
- Zawołaj Kolczyka – poprosił porucznik.
- Pawłowski otworzył drzwi. Kolczyk czekał w korytarzu.
- No co, Kolczyk? To ten się kręcił przy furtce?
- Ten. Tylko inaczej był ubrany. No i miał te czarne okulary.
- Jesteś pewien?
- W stu procentach.
- Byłeś w MZK? – zapytał porucznik Pawłowskiego, kiedy Kolczyk wyszedł.
- Tak. Bielecki ma dzisiaj dyżur. W dodatku jeździ na linii C.

- Nie?! Zawsze?
- Na ogół.
- Do której ma dzisiaj dyżur?
- Do dziewiątej.
- Czy zanotowałeś boczny numer wozu?
- Tak. Trzy tysiące czterysta cztery.
- Jedziemy. Spróbujemy złapać go w Alejach Jerozolimskich. Może zanotowałeś jego rozkład?
- Tak. O ósmej, trzydzieści cztery powinien być przy Marszałkowskiej. Ostatni kurs w stronę Radości.
- W porządku. Zaraz tam jedziemy. – Czy sądzisz, że gdyby tamtego wieczora jeździł na linii C, mógłby zatrzymać autobus i wyskoczyć, aby zamordować Palewskiego, po czym wrócić i jechać dalej?
- Nie – zaprzeczył Pawłowski. – Gdyby nawet było to wykonalne, w co wątpię, to i tak nic z tego, bo sprawdziłem, że dwudziestego drugiego listopada jeździł tylko rano. Oni mają to w zajezdni zapisane.
- To zarazem upraszcza i komplikuje sprawę. No, jedziemy. Może dowiemy się czegoś od niego samego. Pytanie tylko, czy taki zakazany typ zechce nam cokolwiek powiedzieć.
- Gdy dowie się, w czym rzecz...
- Tak. Ale jeżeli powiemy mu dokładnie, o co chodzi, to on tę biedną Stasiakównę gotów jest zakatować. – Różycki zastanowił się. – Sam nie wiem, jak z nim rozmawiać, żeby nie narazić przy okazji tej biednej kobiety. O ile oczywiście to, co ona mi o nim opowiedziała, jest prawdą. Bo przecież skoro złożyła takie zeznanie, znaczy to, że ma ochotę się go pozbyć. A powodem może być zarówno bicie, o którym mówiła, jak i zupełnie coś innego.
- No, cóż... Tak czy inaczej musimy dać mu do zrozumienia, że sprawa jest poważna. Nawet jeżeli tej panience miałby przybyć jeden siniak więcej.
- Wyszli przed gmach komendy. Prószył śnieg. Był tak gę-

sty, że chociaż padał nie dłużej niż pół godziny, zrobiło się zupełnie biało. Samochody jechały powoli, świecąc zapalonymi reflektorami. Odszukali na parkingu swojego fiata. Przednia szyba była już pokryta grubą, białą warstwą. Pawłowski zgarnął puch rękawem.

Okrążyli rondo na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami i Pawłowski zaparkował samochód na chodniku zaraz za przystankiem. Różycki spojrzął na zegarek, dochodziło wpół do dziewiątej. Na przystanku oczekiwała na autobus spora grupka ludzi, którzy dla rozgrzewki potupywali i spacerowali tam i z powrotem. Najpierw przyjechał autobus linii 175. Wsiadło z niego kilka osób, nikt jednak nie wsiadł. Później od strony Ochoty z dużą szybkością nadjechał inny, który już przy żółtym świetle przeciął rondo i ostro hamując, podjechał do przystanku.

– To on – sierżant dotknął ręki Różyckiego.

Za ogromną szybkość porucznik rozpoznał twarz, którą pamiętał z mieszkania Łucji Stasiakówny. Bielecki zamiast munduru miał na sobie skórzaną kurtkę i gruby wełniany sweter.

Wsiadli wraz z innymi do środka. W autobusie panował tłok. Dopiero za Grochowem nieco się rozluźniło. Porucznik miał zamiar wszcząć z Bieleckim rozmowę jeszcze w Radości, ale uznał, że znacznie lepiej będzie poczekać, aż wóz dojedzie do zajezdni. Autobus nie stał zresztą długo na końcowym przystanku, ledwo wysiedli pasażerowie, ruszył w powrotną drogę. Bieleckiemu wyraźnie się spieszyło do zakończenia pracy. Mimo trudnych warunków rozwijał między przystankami dużą szybkość i ostro wyprzedzał inne samochody.

– Koniec trasy – oświadczył, kiedy dojechali do Marszałkowskiej. – Zjazd do zajezdni.

Nieliczni pasażerowie wysiedli. W wozie pozostali Różycki z Pawłowskim. Bielecki wychylił się ze swego fotela, ale ujrawszy ich, cofnął się. Po chwili zreflektował się jakby, wychylił się ponownie i powiedział ostrym tonem, udając, że ich nie poznaje:

- Koniec trasy Proszę wysiadać!
- Bardzo się cieszymy, że koniec, bo my właśnie do pana
- Różycki wystąpił naprzód.
 - W jakiej sprawie? – Bielecki nadal udawał, że nie rozumie, o co chodzi.
 - Jesteśmy z milicji. Mamy do pana parę pytań. A poza tym znamy się już przecież.
 - Ja pana nie znam.
 - Czyżby? Zresztą nieważne. Gdyby miał pan jakieś wątpliwości, proszę, oto moja legitymacja... Myślę jednak, że lepiej będzie, jeżeli odprowadzi pan wóz, a potem spokojnie sobie porozmawiamy.
 - Spiesz się. Nie mam czasu – burknął Bielecki.
 - Trudno. Sprawa niecierpiąca zwłoki. Piętnaście minut może się pan spóźnić.

Bielecki wymruczał jakieś przekleństwo, zamknął drzwi i skręcił w Marszałkowską. Za zakrętem gwałtownie przyspieszył i już do końca jechał z nadmierną prędkością, jak gdyby w ten sposób chciał wyładować swą wściekłość. W bramie zajezdni kontroler zatrzymał go, kwestionując obecność obcych osób. Porucznik raz jeszcze musiał wyciągnąć swoją legitymację. Bielecki zaprowadził autobus na stanowisko, zgasił światła i wstał.

- No więc o co chodzi? – warknął.
- Tu będziemy rozmawiać?
- A gdzie? Nie mam zamiaru marznąć.
- Niech będzie. Nam to w zasadzie nie robi różnicy – zgodził się porucznik. – Przede wszystkim co pan robił w dniu dwudziestego drugiego listopada wieczorem?
 - Byłem u Łucji Stasiak. Sam pan przecież widział.
 - A więc jednak poznał nas pan?
 - Panie, co pan ze mnie frajera robi! Mów pan, o co chodzi, i koniec rozmowy.
 - O której pan przyszedł do Stasiakówny?
 - O siódmej.

- Nieprawda.
- A skąd pan może wiedzieć?
- Nieważne. Dość, że wiem na pewno.
- To powinien pan też wiedzieć, o której przyszedłem.
- Może wiem i to, jednakże tak czy inaczej radzę panu mówić prawdę, gdyż sprawa jest poważna.
- Ta zdzira już panu na mnie nagadała?
- Wolalbym, żeby pan odpowiadał na moje pytania.
- Może przynajmniej się, dowiem, co za sprawa tu się rozgrywa?
- Jest pan podejrzany o morderstwo.
- Ja?
- Tak, pan.
- Panie, coś pan ocipiał? Dlaczego? Kogo?
- Chodzi o zamordowanie profesora Palewskiego. Mówiłem to już wtedy.
- Zgadza się. Pamiętam. Tylko wtedy nie mówił pan, że to ja go rąbnąłem.
- I teraz tego nie mówię. Informuję pana tylko, że jest pan jedną z osób podejrzanych.
- Panie, przecież ja w ogóle nie wiem, kto to jest.
- Czyżby?
- W życiu nie widziałem na oczy żadnego profesora... Jednego Zina w telewizji. No wie pan, tego, co rysuje.
- Ale podejrzewał go pan o stosunki z pana kochanką.
- A więc to prawda, że się puszczała?
- Nic mi o tym nie wiadomo. – Różycki dostrzegłszy na twarzy swego rozmówcy przeblyski wściekłości, próbował załagodzić sytuację.
- Czuję, że co jakaś grubsza ryba. Skąd by miała te dolary, za które się tak stroiła w Pewexie?
- A zatem podejrzewał pan, że to Palewski? – Porucznik wyciągnął ku Bieleckiemu paczkę z papierosami.
- Nie, ja tylko ekstramocne. – Bielecki sięgnął ręką do kieszeni. – Nic nie podejrzewałem. To znaczy podejrzewałem,

ale nie wiedziałem, kto to jest. Żebym wiedział, to już ja go bym nauczył rozumu. Czułem, że ktoś ją przeciwko mnie podkręca. Pieniążki, dolarki, a ona na to, suka, czuła. I wystroić się lubi, i taksówkami jeździć. A ze sklepowej pensji na to sobie przecież pozwolić by nie mogła.

– A pan nic jej nie dawał?

– A z czego, panie? Ja tu tylko na pół etatu pracuję. Zdrowotnie bym dłużej nie wytrzymał. Nie powiem, dobrze płacą, no, ale nie tyle, żeby pieniądze dziwce dawać – toć ja bym nie miał sam z czego żyć! Co innego na tańce zaprosić, drobny prezent kupić.

– Powiada pan...

– A co? Ona już pewno coś nagadała? Że ja machlojki robię, tak?

– Nie o machlojkach przyszliśmy z panem rozmawiać, ale o Palewskim. Twierdzi pan więc, że nie znał profesora, a nawet do czasu naszej wizyty u Stasiakówny tego nazwiska nie słyszał? Ale to nie jest żaden dowód.

– To co, mam panu przysiąc? Przecież i tak mi pan nie uwierzy.

– Racja. I dlatego musimy ustalić, co pan tamtego wieczora robił. Jeżeli sprawdzimy i okaże się, że rzeczywiście robił pan co innego, wszystko będzie w porządku, nie będę pana więcej męczył. Przede wszystkim więc o której pan zjawił się u pani Stasiak?

– Tak prawdę mówiąc, to było już chyba po jedenastej, kiedy do niej przyszedłem.

– A więc jednak... No, a przedtem?

– Przedtem to byłem u Franka na Targówku.

– Jakiego Franka?

– A taki kumpel.

– O której pan tam przyszedł?

– Było chyba wpół do dziesiątej. Nie, nawet później. Dziesiąć po dziesiątej.

– I co pan tam robił?

- Przyniosłem mu samowar.
- Samowar?
- Tak. Franek chciał mieć samowar, to mu kiedyś powiedziałem, że stoi taki jeden u mojej babki, co go jeszcze z Rosji przywiozła, o ile się nie mylę, w dziewięćset siedemnastym. No, a Franek od razu, żebym przywiózł, że on mi dobrze zapłaci. No to przywiozłem.
- A co robił pan przedtem?
- No, przedtem to byłem u babki. Właśnie po ten samowar.
- Gdzie mieszka babka?
- W Rembertowie.
- Jak długo pan tam był?
- Czy ja wiem? Ze dwie godziny.
- Od której do której?
- Przyjechałem gdzieś tak chyba po siódmej. Zjadłem kolację, którą mi babka dała, pogadałem, tego, owego i czas zeszedł. Wróciłem tym pociągiem dziewięta trzydzieści pięć.
- Czy babka mogłaby potwierdzić pana zeznania?
- Może by i mogła, tylko że ona to już, wie pan, stara skleroza, często jej się wszystko kręci.
- A nikt inny pana w Rembertowie nie widział?
- Nie. Babka sama mieszka.
- No, ale poza tym razem, o którym mówimy, pan u niej już potem nie bywał?
- Nie. Poprzednim razem to chyba aż na Zaduszki do niej wpadłem.
- Zobaczmy więc, co powie babka. Niech pan mi zapisze jet adres. – Różycki wyjął notes i wydarł z niego kartkę.
- Bielecki wyjął z kieszeni długopis i zapisał adres.
- Sam pan widzi, że nie jest to pewne alibi, tym bardziej jeżeli pana babce takie rzeczy się mylą.
- No to co ja mam panu powiedzieć? – Bielecki oburzył się, choć nie reagował już tak gwałtownie jak na początku. Był widocznie poruszony powagą sprawy – Ja go nie zabiłem Sta-

siakówna może panu mówić, co chce, ale ja bym człowieka nie zabił. Jestem opryskliwy, fakt, warknę na kogo, nawet przetrączę lekko, zgoda, ale ja bym, panie, człowieka nie zabił. Przecież po czym takim spać nie można! I to dla kogo, dla baby? Panie, ja nie zwariowałem jeszcze. Takich jak ona mogę mieć na pęczki! Rozumie pan? Na pęczki! Ja go nie zamordowałem

– Ty, Zenek – dobiegł ich jakiś głos z zewnątrz – a co ty tak tu stoisz i stoisz? Podjeżdżaj do mycia!

– Czekaj, durniu! – wrzasnął Bielecki, wychylając się przez okno – nie widzisz, że rozmawiam?

– Porozmawiać to sobie możesz w domu. Ludzie chcą iść spać, rozumiesz? – gorączkował się głos.

– No dobra, dobra, zaraz jadę – zgodził się Bielecki – tylko tak nie wrzeszcz.

– Może pan jechać. Nam to na razie wystarczy. – Różycki wstał.

– To znaczy co? – zaniepokoił się Bielecki. – Na co ostatecznie wyszło?

– Nic jeszcze nie mogę panu powiedzieć. Na razie niech się pan nie niepokoi. Jeżeli jest pan niewinny, wszystko będzie w porządku.

– Jestem niewinny. Przysięgam panu... No, jak mamę Kocham – powiedział, bijąc się w piersi, a widząc że porucznik się uśmiecha, dodał: – Pan mi nie wierzy?

Różycki obudził się z bólem głowy. Wieczorem, kładąc się do łóżka, zapomniał otworzyć okno i w pokoju wisiało teraz ciepłe, zduszone i przesycone dymem wypalonych po kolacji papierosów powietrze.

Leżał otępiąły, starając się jak najdalej odsunąć moment zetknięcia ze światłem dziennym. Nagle w jakimś zakamarku mózgu pojawiła się ni stąd, ni zowąd długo odpychana świadomość, że na wpół do dziewiątej jest umówiony z Pawłow-

skim, że budzik, nastawiony na godzinę siódmą, dawno już dzwonił, że od jego przeraźliwego warkotu, zatrzymanego błędzącą na ślepo ręką, upłynąć mogło równie dobrze minut dziesięć, jak i trzydzieści.

Otworzył oczy i sięgnął po zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Ta informacja wyzwoliła w nim nagły przypływ energii; tak jak przedtem nie mógł nawet poruszyć dłonią, tak teraz sprężystym ruchem zerwał się na równe nogi i w jednej chwili znalazł się pod prysznicem. Ból w czaszce jednak nie ustępował. Mimo to myśli powoli zaczęły powracać na swe codzienne tory, do prowadzonej aktualnie sprawy Palewskiego. Dochodzenie trwało już kilka dni, a wciąż trudno było mówić o pozytywnych wynikach. Kilka osób podejrzanych na podstawie dosyć wątpliwych poszlak i nic poza tym. Po raz pierwszy w swej karierze Różycki obawiał się, że śledztwo może utknąć na martwym punkcie. Miał jeszcze kilka informacji do sprawdzenia, jak choćby wczorajsze zeznania Bieleckiego i Pottera oraz alibi Bibi Kowalczyk. Ale co dalej? Nie miał żadnej określonej koncepcji, wciąż jeszcze węszył tylko, nie natrafiając – czuł to – na właściwy ślad. Jego niezawodna jak dotąd intuicja w tym wypadku niczego mu nie podpowiadała. Możliwe warianty przebiegu wydarzeń, jakie w myślach układał, nie były przekonujące i – musiał to przyznać przed sobą – nie bardzo trzymały się kupy. Zazwyczaj w drugim, trzecim dniu dochodzenia stawiał już określone hipotezy, natomiast w tym wypadku poważnie się obawiał, że może nadejść taki moment, kiedy nie będzie nawet wiedział, w którym kierunku należy poprowadzić dalsze poszukiwania.

Śniadanie zjadł w dosyć posępnym nastroju. Proszek od bólu głowy, połknięty przed jedzeniem, jeszcze nie poskutkował. Skończył właśnie pić kawę, kiedy zadzwonił sierżant.

– Proszę, wejść – Różycki zaprosił go do środka. – Może chcesz czegoś się napić?

– Dziękuję, chętnie, na dworze jest tak zimno. Tylko czy nie musimy już jechać?

– Musimy Ale herbaty możesz się napić.
– Wymyśliłeś coś przez noc? – Pawłowski wszedł za porucznikiem do kuchni.

– Nie. Waham się między Bieleckim a Potterem, Ale w gruncie rzeczy skłonny byłbym raczej twierdzić, że to sprawka Pottera. Cała jego historia brzmi jak wyssana z palca. Wygląda zresztą na to, że przygotował ją wcześniej. A do tego te teatralne gesty! Szkoda, że nie widziałeś i nie słyszałeś: „Teraz już po mnie. Czy chce pan mnie zaraz aresztować?”

Różycki wypowiedział to zdanie w sposób przesadny, doskonale naśladowując egzaltowany ton skrzyпка.

– Poza tym te pionierki! – przypomniał sierżant. Oczywiście nie są one dowodem, zważywszy, że żaden ze znalezionych u Pottera butów nie pozostawił śladu pod oknem Willi Palewskiego. Wszystko razem jest jednak niezwykle podejrzane. Co prawda takie dobrze układające się hipotezy często bywają zwodnicze. Oczywiście nie można też zapominać o naszej artystce. Jej sprawa także wydaje się dosyć niepewna.

– No, a co sądzisz o innych? – zapytał Różycki.

– No, cóż... O Bieleckim zaraz dowiemy się coś niecoś. Podkowiński ma murowane alibi, poza tym brak motywu. Popielowa chyba raczej odpada, choć może byłoby to oryginalne – cyniczna staruszka grająca wielkie uczucia do byłego pracodawcy po uprzednim zamordowaniu go kuchennym nożem. Interesujące to, ale mało prawdopodobne. Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę wynik autopsji – cios zadany z dużą siłą. A do tego jeszcze ten dziwny kąt wprowadzenia narzędzia mordu do ciała ofiary. Łucja Stasiak też chyba nie...

– No to chodź, coś ci pokażę – powiedział Różycki, przechodząc do pokoju. Wyciągnął z teczki grubo oprawny zeszyt. Ostatni dziennik Palewskiego. – Doprawdy, nie wiem, jak mogłem to przeoczyć. – Przewrócił kartkę. – Proszę, zobacz, tu na końcu. Ostatnie zdanie notatki z dnia dwudziestego listopada brzmiało: „Wieczorem dziwna wizyta P”.

– Sądzisz, że był u niego Potter?

– Na to wygląda Któż inny mógłby to być? Czytałem to pierwszego dnia i nie zwróciłem uwagi. Dopiero wczoraj wieczorem. – Różycki wstał. – No, jedziemy. Po tym Rembertowie mamy jeszcze parę spraw do załatwienia.

Pogoda była mroźna, ale słoneczna. Dachy stojących przed domem aut pokryły się w nocy szronem. Wsiadli do samochodu. Silnik nie chciał zapalić, zakaszłał i zgasł. Pawłowski ponownie przekręcił kluczyk. Tym razem silnik zaskoczył. Ruszyli. Minęli place Dzierżyńskiego i Teatralny, kawałek Senatorskiej i Miodowej. Gdy mieli zjeżdżać już z Krakowskiego Przedmieścia w Karową, od Królewskiej nadjechał jakiś duży czarny samochód i hamując z impetem, zatrzymał się gwałtownie przed „Bristolem”. O mało nie otarli się o niego.

Pawłowski cicho zaklął.

– Mam! – nagle krzyknął Różycki.

Sierżant spojrział na niego zdumiony.

– Co masz? – zapytał

– Mam. Wiem. Wreszcie sobie przypomniałem.

– Ale co? – dopytywał się Pawłowski.

– No, tak. To oczywiste. Nie może być żadnych wątpliwości. Czy możesz zatrzymać się i poczekać tu na mnie chwilę? Skoczę tylko do „Bristolu” i zadzwonię. Nie potrwa to nawet trzech minut

Otworzył drzwi i wyskoczył na ulicę. Sierżant patrzył za nim ciągle zdumiony.

Różycki wbiegł do hotelu i rzucił się do telefonu. Wyciągnął z kieszeni notes i odszukał numer Bibi Kowalczyk.

– Słucham? – usłyszał rozespany głos.

– Przepraszam, że panią obudziłem, ale mam bardzo ważne pytanie.

– Ale kto mówi? – aktorka była wyraźnie rozdrażniona.

– Różycki, porucznik Różycki

– A, to pan. No, słucham?

– Jaki samochód ma pani przyjaciel?

– Luigi?

- Tak
- Ja się na samochodach tak bardzo nie znam, ale o ile się nie mylę, to była chyba alfa romeo.
- A jakiego koloru?
- Czerwona. Taka krwista.
- Aha. No to dziękuję. Mam nadzieję, że jeszcze pani zaśnie
- Ale po co to panu potrzebne?
- Nic jeszcze nie mogę powiedzieć. Dowie się pani we właściwym czasie. Dziękuję i do widzenia. – Odłożył słuchawkę, aby uniknąć dalszych pytań.
- Wybiegł po schodach na ulicę,
- No i co? – zapytał Pawłowski, kiedy porucznik usiadł obok niego.
- Mam chyba alibi dla Kowalczyk,
- Niemożliwe! Tak nagle?
- Czy pamiętasz, jak przyjechaliśmy po majora Pleśniewicza w dniu, kiedy zamordowano Palewskiego?
- No, pamiętam.
- A pamiętasz ten samochód, który ruszał przed nami?
- Zaraz, zaraz. No, tak. Czerwona alfa romeo.
- Właśnie. Zatrzymała się przed wejściem do hotelu, po chwili wsiadła do samochodu jakaś pani w kozuchu.
- Tego to już nie przypominam sobie. Patrzyłem w drugą stronę.
- No, ale ja pamiętam. To była Bibi Kowalczyk.
- Jak do tego doszedłeś?
- Kiedy była u nas w komendzie, odprowadzałem ją do szatni. Ód razu gdy tylko zobaczyłem ją w kozuchu, miałem wrażenie, że już gdzieś go widziałem; jest bardzo charakterystyczny, jasny i wyszywany czerwoną, grubą nitką. Ale ani rusz nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Dopiero teraz, kiedy ten samochód zahamował gwałtownie tuż koło „Bristolu” – podobnie jak wtedy ta alfa romeo – wszystko mi się skojarzyło. Dzwoniłem do niej przed chwilą. Powiedziała, że jej

znajomy miał czerwoną alfę romeo. A mówiła mi przecież, że w tym czasie jedli w „Bristolu” kolację.

– No dobrze, ale kiedy my stąd ruszaliśmy, była co najmniej za piętnaście dziesiąta.

– Tak. To oczywiście wymaga jeszcze zbadania. Od momentu śmierci Palewskiego mogli tu dojechać, wpaść na chwilę do „Bristolu” i wyjść w momencie, kiedyśmy ich widzieli.

– Sądysz, że mogła posłużyć się nimi, aby dostać się na miejsce zbrodni?

– A dlaczego nie? Wiedziała przecież, że mają wyjechać. Mogła im powiedzieć, że ma jakiś drobiazg do załatwienia w Radości, kazać im poczekać w samochodzie, załatwić całą sprawę i szybko wrócić. Choć patrząc na to z drugiej strony, nie mogła przewidzieć, że gdy ona wyjdzie z hotelu, ja będę przejeżdżał tędy, by w ten sposób dostarczyć jej alibi. Gdyby rzeczywiście dokonała zbrodni, myślę, że postarałaby się o jakieś rozsądniejsze alibi. No, ale oczywiście...

– Pamiętam, że ci Włosi nie mogli wtedy zapalić. Gdyby mieli za sobą podróż do Radości i odstawili samochód tylko na parę minut, silnik chwyciłby od razu.

– To nie jest żaden argument – sprzeciwił się

Różycki. – Ty też postawiłeś dzisiaj samochód na pięć minut, a nie chciał ci przed chwilą zapalić.

– No, tak – sierżant bronił się – ale ja przedtem przejechałem tylko kilka ulic, to się nie liczy. I dziś jest znacznie zimniej niż wtedy. A poza tym w naszym fiacie coś jest nie w porządku z zapłonem. Zauważyłem to wczoraj. Muszę go dać do przeglądu.

– Słuchaj – powiedział Różycki – pójdziesz dziś wieczorem do „Bristolu”, do restauracji, i spróbujesz się dowiedzieć, czy nie zapamiętał jej któryś z kelnerów. Jej twarz jest dosyć znana. A kelnerzy mają na to oko...

W Rembertowie po długich poszukiwaniach odnaleźli ogrodzoną drewnianym płotem rudę, oznaczoną numerem

podanym przez Bieleckiego. Różycki zapukał do drzwi, dzwonek bowiem nie było. Odczekał chwilę, a ponieważ nikt nie podchodził, ominął ostrożnie przysypaną śniegiem małą grządkę, która znajdowała się przed domem, i zapukał w okno.

– Kto tam? – usłyszeli starczy, zachrypnięty głos.

– Czy to pani Bielecka? – zapytał porucznik.

– To ty, Zenuś? – w głosie zabrzmiała nadzieja.

– Nie.

– Słucham?

– Niech pani otworzy – krzyknął Różycki, zbliżając usta do futryny.

– A któż to taki?

– Jesteśmy z milicji, proszę się nie obawiać.

– Jezus Maryja, a czy on znowu coś nabroił? Skaranie boskie z tym chłopakiem!

Drzwi uchylily się lekko, na tyle, na ile pozwalał łańcuch, i ukazała się w nich stara, gęsto pomarszczona twarz. Spomiedzy fałdów przedziwnie poskręcanej skóry wyglądały dwie białe gałki ze źrenicami błękitnymi jak u dziecka. Oczy niedowierzającym i badawczym spojrzeniem taksowały przybyśców.

Różycki wsunął przez szparę służbową legitymację.

– Proszą, oto moje dokumenty – powiedział.

Koścista ręka sięgnęła po legitymację, ujęła ją w palce i drzwi zatrzasnęły się ponownie.

– Muszę wziąć okulary – zaskrzypiał głos, oddalając się od drzwi.

Kontrola legitymacji musiała być bardzo dokładna, bo pani Bielecka długo nie wracała. Kiedy wreszcie pojawiła się ponownie, jej usta szeptały jakieś niezrozumiałe słowa. Drzwi uchylily się znowu.

– Ale on tu nie mieszka – powiedziała, zwracając dokument – On ze mną nie mieszka, już trzy lata będzie, jak się przeniósł do Warszawy.

– My do pani – wyjaśnił porucznik. – I tylko na chwili-

leczkę.

– A cóż on znowu takiego zrobił, że aż ja muszę odpowiadać?

– Być może, że nic nie zrobił – powiedział Różycki. Łańcuch ustąpił. – Chodzi tylko o ustalenie pewnych faktów.

– O, panie – przerwała staruszka – ja już wiem swoje. Z nim nigdy spokoju nie będzie. Zawsze mówiłam Heniusiowi, panie świeć nad jego duszą, ty go pasem lej, póki jeszcze czas, to się odmieni, ale on miętki był, mówił, że dziecka nie można. Dobry był taki i serce dla ludzi miał ten mój Henio. I przez tę swoją dobroć zginął.

– Dlaczego przez dobroć? – zainteresował się porucznik.

– No, a przez co? Przecież nim się wszyscy wysługiwali. Temu zrób to, tamtemu tamto, temu schowaj to, temu zanieś tamto, a tu przecież wojna i posterunek niemiecki o trzy domy dalej był. No i wtedy też, pamiętam, była wielka sobota, ten Stasiek, wie pan, jego kolega, kazał mu jakieś papiery do Warszawy wozić, a ten głupi od razu się zgodził. Ja mu mówię: Heniuś, nie jedź, obiad taki dobry przygotowałam. Akurat schabu znajoma ze wsi przywiozła, więc ja mu mówię: za pół godziny będzie podane, później pojedziesz. Ale on tylko się obruszył, że czekać na obiad nie może, a zje po powrocie. I już nie wrócił. A z Zenusiem tak samo, ja mu mówiła, jakby go sprzął raz i drugi, to i by się chłopak ustatkował, ale on nie. A tamten po matce taką naturę odziedziczył. To była dopiero podfruwajka i Heniusiowi całe życie po głowie jeździła. Ja nic złego o zmarłej nie chcę mówić, ale tak było. Heniuś i dla niej był za dobry, nie umiał jej w garść wziąć, no i z Zenkiem to samo. Ale ja tu gadam i gadam, a panom pewnie się spieszy.

– Pani Bielecka – zapytał Różycki – a kiedy wnuczek był u pani ostatnio?

– Ano kilka dni temu i dzisiaj też ma przyjść. Dzwonił wczoraj wieczorem do sąsiadki i kazał powiedzieć, że będzie dzisiaj z rana, ale go jeszcze nie ma. Pewnie śpi, bo on lubi długo spać. W nocy, panie, to by siedział i siedział albo na

tańce szedł, a rano śpi. Dobudzić się go nie można.

– Kilka dni temu, to znaczy kiedy? – wtrącił porucznik.

– Zaraz, zaraz, kiedy to było? A co to takie ważne?

– Ważne.

– Zaraz, niech no ja sobie przypomnę. A dzisiaj jaki dzień jest?

– Sobota.

– Pozawczoraj to ja była u Łaciakowej po wełnę, bo wie pan swetry na drutach robię, tylko że wzrok już słaby, ale pomalutku, pomalutku coś zrobić mogę – staruszka znowu uciekła w inne tematy. – To temu gałganowi sweter zrobiłam. Jeszcze we wrześniu, ale on powiedział, że nie będzie nosić, bo mu się kolor czy coś tam nie podobało. Oddałam go tedy Łaciakowej, jeszcze mi dwieście złotych dała. Teraz też dla niej robię, zawsze parę złotych człowiek na boku ma, to Heniusiowi czasem dam, temu, chciałam powiedzieć – Zenusio-wi. Wszystko już mi się myli...

– To znaczy, że w czwartek była pani u sąsiadki? – Różycki, wykorzystując chwilową przerwę w potoku słów, próbował naprowadzić rozmowę na właściwy temat.

– U jakiej sąsiadki? – zdziwiła się staruszka.

– No u tej Łaciakowej.

– A jaka tam ona sąsiadka. Na drugim końcu Rembertowa mieszka, prawie pod Ząbkami. Piechotą do niej poszłam, to tak się zadyszałam, że mówię panu, z pięć razy musiałam po drodze odpoczywać. No, ale co robić, samo nie przyjdzie. Jak Zenuś czasem jest, to podskoczy, przyniesie, no, ale ostatnim razem jak był, to, nie miał czasu, gdzieś się spieszył, tylko zjadł, film obejrzał i powiedział, że musi lecieć. Zabrał mi ten samowar, choć nie chciałam mu go dać.

– To znaczy wziął wbrew pani woli?

– A pewnie, gdzie ja bym mu pozwoliła taki samowar brać. Przecie moja nieboszczka matka to go jeszcze na Newskim Prospeckie w dziewięćset dziewiątym kupowała. I jak ja byłam mała, to zawsze się z tego samowara herbatę piło. Pa-

nie, ja bym wolała umrzeć, niż ten samowar oddać. No, ale co mogłam zrobić? Przyszedł, powiedział, że mu pieniądze potrzebne, a samowar chcąc kupić, wziął i zabrał. Ja mu nie chciałam oddać, to mnie odepchnął i tyle. Czy ja coś przeciwko niemu mogę? Powiem coś, to jeszcze mnie zbije...

– A zdarzało się, że już panią bił?

– Zdarzać to się nie zdarzało, bo ja zawsze ustąpię, niewiele mi już zostało na tym świecie, to nerwów sobie szarpać nie chcę, ale nieraz mi groził!

– No, ale kiedy po ten samowar przyszedł? Może pani sobie przypomnieć?

Staruszka podrapała się w głowę.

– No zaraz, zaraz – mamrotała do siebie – jeżeli po wełnę byłam we czwartek, to Zenuś był dzień wcześniej, nie, dwa dni, a może trzy. Nie pamiętam.

– No, to jeden czy dwa?

– Nie pamiętam. – Bielecka, jakby zmęczona wysiłkiem pamięciowym, usiadła na stołku. – On zaraz tu przyjdzie – powiedziała po chwili – to go pan sam zapyta.

– Wolałbym dowiedzieć się tego od pani.

– Kiedy nie mogę sobie przypomnieć, no, nie mogę i już – zmartwiła się staruszka. – Ale co panowie tak stoją, proszę siadać – powiedziała nagle. – Może herbaty albo kwaśnego mleka? Zenuś zaraz powinien być.

– Nie, nie – bronił się Różycki.

– Zaraz przyniosę – powiedziała, wychodząc do drugiej izby, w której znajdowała się kuchnia.

– Przyjeżdża pewnie, żeby ją nakręcić – szepnął sierżant.

– Jak on się tu zjawi, to już niczego nie dojdziemy.

– Mam pewien pomysł – szeptem odpowiedział Różycki.

– Mianowicie? – zainteresował się Pawłowski.

W tym momencie za drzwiami rozległy się czyjeś kroki, a następnie walenie w drzwi. – Otwieraj, babcia – głos należał do Bieleckiego.

Na widok niespodziewanych gości zatrzymał się w

drzwiach i zmarszczył brwi, potem nagle opanował się i spokojnym głosem zapytał:

– Panowie już tutaj?

– Tak. Dzień dobry. Może pan wejdzie? – Różycki zaprosił go do środka. – Pańska babcia nie może sobie przypomnieć, którego dokładnie dnia był pan u niej z wizytą. Czy przyszedł pan może po to, żeby jej przypomnieć?

Bielecki skrzywił się. Nie próbował nawet zaprzeczać.

– Okazał się pan szybszy – powiedział. – Teraz już pewnie nie mam szans – wszystko świadczy przeciwko mnie. Tak przynajmniej będzie pan uważał. A mimo to nie jestem winny.

Staruszka ukazała się w drzwiach kuchni.

– A, to ty, Zenuś – powiedziała.

– Zaraz to ustalimy – uspokoił go porucznik. – Niech się pan tak nie denerwuje. Pana babcia mówiła nam, że będąc tutaj ostatnim razem, oglądał pan przy kolacji telewizję. Czy to prawda?

– Prawda.

– Pana zdaniem, był pan tutaj którego dnia?

– No, zaraz – Bielecki liczył na palcach – piątek, czwartek, środa, wtorek. Byłem tutaj we wtorek.

– We wtorek było dwudziestego drugiego listopada.

– Zgadza się.

– Czy może mi pan powiedzieć, Jaki program obejrzał pan tutaj w telewizji?

– To był film.

– Czy umiałby pan mi podać tytuł tego filmu?

– Zaraz, zaraz, chyba „Tajemnica zamku San Clemente”.

– A czy umiałby pan podać w skrócie jego treść?

Bielecki był coraz bardziej zdziwiony. Zdjął płaszcz i odłożył go na łóżko, po czym usiadł na krześle.

– No więc to było tak: Taka panna przychodzi do jednego inspektora, żeby mu powiedzieć, że w jej zamku dzieją się dziwne rzeczy, co noc jakaś postać ją straszy, a poza tym jej ulubiony pies został otruty przez nieznanego sprawcę. No to

ten inspektor Braun idzie wieczorem do tego zamku, żeby to wszystko zbadać, i zaczają się w komnacie za kotarą. Co odkrywa, nie wiem, bo właśnie wtedy babka zawołała mnie do kuchni, żebym zabrał supę, dość że potem on znajduje się w jakiejś piwnicy związany. Sam nie wie, gdzie jest. Rano jakaś ręka podaje mu przez drzwi jedzenie. W nocy słyszy pod sufitem różne głosy, które rozprawiają o jego śmierci. A z kolei tamta panna wyjeżdża... Nie, najpierw zanim wyjechała, to budzi się którejś nocy i woła pokojówkę, że stoi nad nią ktoś z nożem. Ta pokojówka przybiega i widzi jakąś postać uciekającą przez okno. No, a potem panna Hudson, czy jak jej tam było, wyjeżdża do miasta, do swojego narzeczonego, i chce zabrać ze sobą ojca, ale ten ojciec się upiera, że nie pojedzie. Twierdzi, że on się duchów nie boi. I tego ojca wtedy mordują. I wtedy ten naręczony zaczyna prowadzić dochodzenie na własną rękę i odkrywa, że inspektor Braun był uwięziony w takiej starej piwnicy niedaleko zamku.

– Tak... A jak się film kończy? – zapytał porucznik. – Kto właściwie udawał ducha?

– Ta ciotka.

– Ciotka panny Hudson?

– Tak i ona zamordowała jej ojca, i ją chciała zamordować też. Bo okazało się, że kilkanaście lat temu przy podziale spadku czegoś tam nie dostała czy coś, i chciała całą rodzinę pana Hudsona, to znaczy swego brata, wymordować.

– Dziękuję panu. To tymczasem starczy.

Bielecka weszła do pokoju niosąc szklanki z herbatą.

– Nie, dziękuję – wzbraniał się porucznik – my już musimy lecieć. Myślę jednak, że pani wnuk napije się chętnie – dokończył wstając i zwrócił się do Pawłowskiego: – Idziemy.

– Jak na to wpadłeś? – zapytał sierżant, kiedy znaleźli się w samochodzie.

– Sam oglądałem ten film, zanim zadzwonił Pleśniewicz, i wiem, co działo się na ekranie w tym czasie, kiedy akurat zginął Palewski. Bielecki nie mógł przecież oglądać filmu,

mordując jednocześnie człowieka...

– Ale mógł obejrzeć film nazajutrz rano.

– Nie. Nie było powtórzenia. Sprawdzalem to, bo ciekaw byłem końca, nie wyświetlano go po raz drugi. A we wtorek nie był nawet zapowiedziany przez prasę, bo w ostatniej chwili zaszła jakaś zmiana w programie. A trudno przypuszczać, żeby Bielecki przewidział, że ja będę go przepytawał z programu telewizji, i specjalnie się na tę okazję przygotował.

– Z tego wynika, że on odpada – powiedział Pawłowski.

– Kowalczyk prawdopodobnie też. Kto więc pozostaje?... Jeden Potter. Bo trudno chyba przypuszczać, że zrobiła to Stasiakówna?

– Nie, w takim wypadku nie dzwoniłaby zaraz potem. Zresztą nie miała powodów. Tak więc na razie mamy tylko Pottera. Żadnej innej możliwości w tej chwili nie widzę. Przypuszczam, że alibi pani Kowalczyk potwierdzi się, ale z kolei Potter... – Różycki przerwał i zamyślił się. – Wpadnijmy do Radości – powiedział po chwili milczenia. – Chcę sprawdzić pewną rzecz i trochę porozmawiać z panną Betsy Palewski. Może będzie wiedziała, co mogło stać się ze zdjęciami i korespondencją jej ojca.

Kelner z „Bristolu” historię opowiedzianą przez Bibi Kowalczyk potwierdził. Przypomniał sobie dokładnie, że w dniu dwudziestego drugiego listopada, między godziną dwudziestą czterdzieści pięć a dwudziestą pierwszą czterdzieści artystka, którą dobrze znał z telewizji, jadła kolację w towarzystwie dwóch, jak się wyraził „zagraniczników”. Pamiętał nawet stolik, przy którym towarzystwo siedziało.

– Ten koło lustra – wskazał sierżantowi – zawsze dajemy go lepszym gościom. Trzymamy go w rezerwie na wypadek, gdyby przyszła jakaś ważna osoba. Poznałem panią Kowalczyk od razu, a że nigdzie nie było wolnych miejsc, posadziłem ich właśnie tutaj.

Po tym oświadczeniu trudno było mieć wątpliwości co do alibi aktorki. Po wysłuchaniu relacji sierżanta Różycki postanowił udać się do domu. Poczul się zmęczony i zniechęcony. Kiedy jednak znalazł się w mieszkaniu, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Zupełnie odeszła mu ochota na wypoczynek. Nie rozwiązana zagadka śmierci Palewskiego nie dawała mu spokoju. Po raz pierwszy w jego karierze sprawa całkowicie wymykała mu się z rąk. Wiedział już prawie wszystko, czego przy użyciu zwykłych metod można się było dowiedzieć, a jednak nie umiał jak dotąd wskazać zabójcy. Wszystko zdawało się świadczyć przeciwko Potterowi, nie miał jednak niezaprzeczalnych dowodów. Starał się uporządkować zdobyte informacje, im bardziej jednak próbował się skoncentrować, tym więcej jego myśli kłębiły się i plątały.

Zapał już zmierzch, a on ciągle siedział wpatrzony w okno, nie mogąc pozbyć się poczucia źle spełnionego obowiązku. Wreszcie znużenie wzięło górę.

Położył się na kanapie, nakrył kocem i prawie natychmiast zasnął.

Kiedy się obudził, było już ciemno. Zapalił światło. Bolały go wszystkie kości Lewą ręką, którą w czasie snu trzymał pod głową, zupełnie mu zdrętwiała. Podniósł się ociężale i poczłapał do kuchni, zapalił gaz i nastawił wodę na herbatę. Wykonując te czynności, spieszył się odruchowo, choć nie wiedział właściwie do czego. Mimo dość długiego snu wrażenie, że przeoczył jakiś istotny moment nie minęło, można nawet powiedzieć, że się spotęgowało. Jego umysł pracował gorączkowo, nie mógł jednak wysnuć żadnego konkretnego wniosku. Ze szklanką herbaty w ręku powrócił do pokoju i usadowił się koło telefonu. Sam nie wiedział, dlaczego wykręcił numer mecenasa Raczyńskiego.

- Z panem mecenasem...
- Jestem przy telefonie – odezwał się tubalny głos.
- Tu mówi Różycki. Porucznik Różycki. Parę dni temu...
- Witam, witam, panie poruczniku.

- Co nowego u pana?
 - To znaczy względem czego? – Adwokat zdaje się nie bardzo rozumiał cel tej rozmowy.
 - Załatwił pan z córką Palewskiego jej sprawę? – zapytał Różycki.
 - Tak – zdziwił się jeszcze bardziej Raczyński.
 - Czy coś się stało?
 - Nie, skądże znowu – uspokajał go porucznik – nic się nie stało. Jednym słowem, przekazał jej pan wszystkie papiery?
 - Tak – Raczyński odpowiadał z pewnym przymusem – załatwiliśmy wszystko dzisiaj przed południem. Mówiłem panu przecież, że właściwe postępowanie odbędzie się w Genewie. Ona przecież jutro wyjeżdża.
 - Jutro?
 - To pan porucznik o tym nie wie? Na pewno zatelefonuje jeszcze do pana, aby się pożegnać. Mówiła, że ma zamiar to zrobić.
 - Widziałem ją wczoraj, ale nic wspominała, że już jutro...
 - Zapewne zapomniała. A na dzisiejsze popołudnie umówiona była na spotkanie z tym sekretarzem profesora, panem Podkowińskim. Miał jej przekazać rękopisy. Mogła w związku i tym nie mieć czasu. Pewnie zrobi to jeszcze wieczorem.
 - O której ma jutro samolot?
 - Z samego rana. O siódmej trzydzieści. Pan Podkowiński obiecał ją odprowadzić. Mówiła, że musi jechać, bo ma w poniedziałek zajęcia ze studentami... No, a co u pana? Czy trafił pan już na ślad mordercy?
 - No cóż, pewności jeszcze nie mam. Istnieje bardzo wyraźny trop, ale...
 - Życzę wobec tego powodzenia.
 - Dziękuję i do widzenia panu.
- Zaskoczenie mecenasa było zupełnie usprawiedliwione. Nie byli przecież ze sobą w stosunkach towarzyskich. Nigdy w

czasie śledztwa nie zdarzyło mu się postępować w sposób równie, nieskoordynowany. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

Wydawało mu się, że spacerował w ten sposób zaledwie pięć albo dziesięć minut, ale kiedy ponownie spojrzął na zegarek, było już po dwudziestej pierwszej. Narzucił płaszcz i wyszedł pospiesznie z domu. Na postoju stały na szczęście taksówki.

Było już po dwudziestej trzeciej, gdy wrócił samochodem z komendy do domu. Wszedł do mieszkania, nastawił czajnik, z lodówki wyjął masło, ser, wędliny, wyrzucił to wszystko na talerz, przyrządził herbatę i pospiesznie zaczął przygotowywać kanapki. Następnie zjadł je z równym pośpiechem, popił herbatą i zapaliwszy papierosa, przeszedł do pokoju. Usiadł w fotelu, ale zaraz wstał ponownie i zaczął przechadzać się w poprzek pokoju, spoglądając co chwila na zegarek. Kiedy minęła dwudziesta czwarta ubrał się i wyszedł z mieszkania. Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Radości.

Gdy dojechał na miejsce, światła w całej willi były już wygaszone. Przy pomocy klucza, który zabrał w pierwszym dniu śledztwa, otworzył drzwi najciszej, jak potrafił. W holu poruszył się jakiś cień.

– Cicho, Kolczyk, to ja – wyszeptał.

Masywna sylwetka sierżanta wyrosła tuż przed samym nosem porucznika. Zabłyśło światło latarki trzymanej przez sierżanta w ręce.

– Bałem się, że to może kto inny – usprawiedliwił się szeptem sierżant.

– Nikt nie powinien wiedzieć, że tu byłem – powiedział Różycki. – Panna Palewski śpi?

– Tak, już przeszło godzinę temu się położyła,

– Gdzie są klucze od garażu?

– Mam je przy sobie. – Kolczyk zabrzączał kluczami, przyświecając sobie latarką. – O, to chyba będą te.

Porucznik wziął klucze i wyszedł z domu. Otworzył bramę

garażu, wszedł do środka i włączył światło. Nie znalazł jednak tego, czego poszukiwał. Ogromna limuzyna Palewskiego wypełniała bez reszty pomieszczenie przewidziane dla mniejszych pojazdów. Poza paroma pustymi puszkami po olejach żadnych innych przedmiotów tutaj nie było. Różycki wyłączył światło i zamknął za sobą drzwi. Wrócił do domu. Otworzył mu sierżant, który widocznie musiał usłyszeć jego zbliżające się po ścieżce kroki.

– Gdzie jest piwnica? – zapytał porucznik.

– Wejście do niej jest przy kuchni, z tego małego korytarzyka.

Niestety, oględziny piwnicy również nie dały rezultatu.

– Czyżbym się mylił? – Porucznik w zamyśleniu patrzył na Kolczyka. – Czy oprócz garażu i tej piwniczki nie ma tu już innych pomieszczeń gospodarczych?

– O ile wiem, to nie ma.

– Czy nie wydaje się wam, że jak na tak duży dom, to trochę ta piwniczka za mała?

– Duża nie jest Ale przecież mogło się zdarzyć, że większej nie zrobili.

– To mi się nie zgadza. Musi tu być jeszcze coś, jakaś spiżarnia, druga piwnica... – Porucznik uderzył się w czoło i wszedł do kuchni.

Przyświecając sobie latarką, obejrzał dokładnie rozłożone na podłodze linoleum. W jednym z rogów było lekko wyrzużone. Odgiął brzeg wykładziny i jego oczom ukazała się duża kłapa prowadząca do pomieszczenia pod podłogą. Podważył kłapę palcem i odchylił ku górze. Wysunęła mu się z rąk i z hukiem upadła na podłogę. Stanął nasłuchując. Na schodach rozległy się kroki.

– Idź, zatrzymaj ją – szepnął do Kolczyka.

Sierżant wyszedł z kuchni.

– Czy coś się stało? – rozległ się z daleka przerażony głos Betsy Palewskiej.

– Nie, to tylko ja, proszę pani – tłumaczył Kolczyk. –

Krzeseło mi się przewróciło... Bardzo panią przepraszam. Niezdara ze mnie, ale proszę się nie niepokoić, wszystko jest w porządku

Słychać było, jak dziewczyna wchodzi po schodach, postukując nocnymi pantoflami. Po chwili światło sączące się z góry zgasło.

Różycki na palcach zszedł do odkrytego przez siebie pomieszczenia. Rozejrzył się dookoła, przyświecając latarką. Na półkach, ustawionych wzdłuż ścian, tkwiły niezliczone słoje z konfiturami i marynatami, przyrządzone zapewne gospodarską ręką pani Popielowej. Środek pomieszczenia był pusty.

Różycki raz jeszcze rozejrzył się na prawo i na lewo i już chciał się wycofać z poczuciem całkowitej porażki, gdy nagle wydało mu się, że jeden z regałów ustawiony jest trochę nierówno, zupełnie tak, jak gdyby z niezrozumiałych powodów odstawał nieco od ściany. Kiedy odsunął go z niemałym trudem, w ścianie ukazały się drzwi. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Następne pomieszczenie zawalone było różnymi meblami zostawionymi zapewne przez poprzednich właścicieli domu. Stare, przegniłe obicia pluszowe cuchnęły stęchlizną. Różycki zaglądał we wszystkie możliwe zakamarki, ale i tu poszukiwanego przez siebie przedmiotu nie znalazł. Drzwi do trzeciego pomieszczenia piwnicznego odkrył bez trudności. Było prawie puste.

Otarł pot z czoła. Jeszcze przed godziną wydawało mu się, że wie już wszystko. Tymczasem teraz znowu jeden element się nie zgadzał. Pośpiesznie wrócił na górę i wszedł do gabinetu. Nie, nie mógł się przecież pomylić. Fotel, na którym Palewski siadywał zwykle wieczorem, już przedtem został zbadany dokładnie. Jeszcze raz oświetlił go latarką i uważnie obejrzał ze wszystkich stron, dokładnie obmacując oparcie. Nie było w nim najmniejszych śladów tego, czego szukał. Usiadł, żeby przez chwilę się zastanowić. Na gorze panowała zupełna cisza. Zapalił papierosa. Słyszał, jak w kuchni skrzypnęło krzesło, na którym siedział Kolczyk. Nagle olśniła go

zupełnie nowa myśl. Przez chwilę nie mógł uwierzyć, że tak proste rozwiązanie nie przyszło mu dotąd do głowy. Wstał i przeszedł do salonu. Kolejno oświetlał oparcia stojących tam foteli, identycznych jak ten w gabinecie. Jedno z oparć na wysokości głowy było wyraźnie i bardziej od pozostałych przybrudzone. Różycki nie miał już teraz wątpliwości, że to na tym właśnie fotelu profesor Palewski odbywał w gabinecie swą wieczorną lekturę. Ostrożnie zbadał palcem szwy tkaniny, w którą obciążony był fotel. Jeden z nich krył niewielką, specjalnie spreparowaną szczelinę. Od spodu pod warstwą gąbki z trudnością dawał się wyczuć niewielki, twardy kształt. Porucznik ostrożnie postawił fotel do góry nogami. Tak jak się spodziewał, pokrowiec był od spodu zapinany. Wszystko urządzone było tak sprytnie, że zapięcie nie było zauważalne dla kogoś, kto się go w tym miejscu nie spodziewał. Różycki wsunął rękę do środka. W głębi przymocowany był mały metalowy uchwyt, do którego morderca przytwierdził śmiertelne urządzenie, aby je następnie, już po dokonaniu zbrodni, usunąć. Odszukanie właściwej aparatury było już w tej chwili sprawą drugorzędną. Znalezione dotychczas ślady wystarczały, aby potwierdzić w sposób niezachwiany hipotezę, którą porucznik postawił wieczorem w domu. Zapiął pokrowiec i przesunął fotel na dawne miejsce, a następnie na palcach przeszedł do kuchni.

– Czy mówiła, że jutro wyjeżdża? – szeptem zapytał sierżanta.

– Tak, Kazała się zbudzić o piątej. Powiedziała mi, że telefonowała wieczorem parę razy do pana porucznika, ale nie było pana w domu.

– Zgadza się – mruknął Różycki. – No to cześć, trzymajcie się.

– No i co? – sierżant nie był w stanie opanować ciekawości.

– Wszystko wyjaśni się jeszcze dziś rano. – Różycki na palcach przemierzył hol i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Wyszedł na drogę i po paru minutach „Sürszu” dotarł do pozostawionego w znacznej odległości od domu samochodu.

Różycki nie kładł się już tej nocy spać. Udał się na Krakowskie Przedmieście. Zostawił samochód na parkingu i wolnym krokiem podążył do pobliskiego „Bristolu”, gdzie w nocnym barze zamówił dużą kawę. Pałac papierosa za papierosem, wielokrotnie składał wszystkie zebrane elementy, starał się zbadać, czy schemat, który ułożył wieczorem, nie zawiera przypadkiem jakiejś pomyłki. Kiedy wychodził przed zamknięciem baru, nie miał już żadnych wątpliwości co do przebiegu wydarzeń. Senność, którą odczuwał wracając z Radości, minęła zupełnie. Noc była ładna, świecił księżyc i zrobiło się ciepło. Nie miał ochoty iść do domu. Ruszył Krakowskim Przedmieściem w kierunku Starego Miasta.

Kiedy dotarł wreszcie do domu, była piąta. Wziął prysznic, a następnie zjadł śniadanie. O wpół do szóstej wykręcił numer telefonu sierżanta Pawłowskiego.

Usłyszał zaspany głos.

– Cześć, mówi Różycki. Przepraszam bardzo, że tak wczesnie dzwonię.

– Czy coś się stało?

– Nic strasznego. Po prostu pomyślałem sobie, że chciałbyś być obecny przy zakończeniu sprawy Palewskiego. Chyba się nie omyliłem?

– Nie. Czyżbyś już...

– Tak. Finał rozegra się w Porcie Lotniczym Okęcie około godziny siódmej.

Pawłowski obiecał być gotów za pół godziny.

Różycki zadzwonił z kolei do komendy. Potem ubrał się i wyszedł z domu. Było jeszcze ciemno. Włączył silnik i nie spiesząc się, ruszył w kierunku domu sierżanta. Pawłowski czekał na niego na ulicy. Piętnaście minut później dojeżdżali

do lotniska.

Poczekalnia była jeszcze zupełnie pusta. Tylko dwóch panów w egzotycznych strojach klóciło się przy kasie, usiłując wytłumaczyć coś urzędnicze łamanym językiem, na który składały się słowa włoskie, angielskie i rosyjskie. Powoli zjeżdżali się podróżni. Różycki trącił Pawłowskiego w ramię, kiedy z zatrzymującej się na podjeździe taksówki wysiadła panna Palewski w towarzystwie Podkowińskiego.

– A, pan porucznik – powiedział z uśmiechem Podkowiński – nie spodziewaliśmy się pana tutaj. Panna Palewski bardzo żałowała, że nie udało się jej pana zobaczyć. Chciała podziękować za zajęcie się sprawą.

– Och, to naprawdę drobiazg – porucznik uśmiechnął się. – Zajmowanie się takimi sprawami należy do moich obowiązków zawodowych. A ta była w dodatku niezwykle ciekawa.

– Mówi pan tak, jakby odnalazł pan już mordercę.

– Bo odnalazłem.

Podkowiński spojrział na niego uważnie.

– Czy można wiedzieć, kto nim jest?

– Pan, młody człowieku.

– Pan chyba żartuje.

– Dzień dobry – powiedziała panna Palewski, która dopiero w tym momencie podeszła do Różyckiego. – To miło, że przyszedł pan mnie odprowadzić.

– Dzień dobry, panno Mirosławo.

Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiech. Po chwili opanowała się jednak i unosząc oczy powiedziała:

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Jestem przekonany, że rozumie pani aż nazbyt dobrze, panno Zelczyk. Przykro mi, ale, nie odleci pani dzisiaj do Stanów Zjednoczonych. O ile w ogóle miały to być Stany Zjednoczone. Sądzę, że nie przypadkiem wybrała pani samolot z przesiadką w Londynie. Stamtąd łatwo byłoby już się dostać do Szwajcarii, a potem do Brazylii albo Argentyny czy jakiegokolwiek innego kraju, gdzie ani polska ani amerykańska

policja nie mogłyby pani niepokoić. Pan, panie Podkowiński, zjawiłby się tam wkrótce i odtąd moglibyście już, drodzy państwo, prowadzić spokojne życie bez żadnych kłopotów materialnych. Przykro mi, ale muszę zepsuć te piękne plany. Jesteście państwo aresztowani. Pan – zwrócił się do Podkowińskiego – pod zarzutem zamordowania profesora Palewskiego, pani natomiast pod zarzutem moralnego współdziałania w tej zbrodni, a ponadto zamordowania panny Betsy Palewskiej, córki profesora. Przy okazji mogę panią poinformować, że policja amerykańska odnalazła jej ciało, mimo że wiele włożyła pani wysiłku w to, aby pozostawić je w miejscu najmniej oczekiwanym, wiele kilometrów od domostwa ofiary i z twarzą zmasakrowaną do tego stopnia, że trudno było ją zidentyfikować. Gdyby nie mój telefon, policja amerykańska, być może, nigdy nie domyśliłaby się, że to odnalezione w pustynnym kanionie kobiece ciało to właśnie zwłoki panny Palewskiej. Ja dostarczyłem im brakującego ogniwa, sam przy okazji potwierdzając swoje przypuszczenia.

– Ależ to ja jestem panna Palewskiej! – oburzyła się dziewczyna. – Tam mogą myśleć, że zniknęłam, ponieważ nie miałam czasu uprzedzić kogokolwiek o swoim wyjeździe...

– Niepotrzebnie się pani wysiła. Nie stawiam tego rodzaju oskarżeń, jeżeli nie mam pewności – powiedział spokojnie Różycki. – Odwiedziłem wczoraj biuro paszportowe i odnalazłem pani fotografię na podaniu o paszport. Plan, który państwo ułożyli, był w istocie znakomity, naprawdę niewiele brakowało, a dałbym się zwieść i ja. Gratuluję inteligencji. Któż podejrzewałby, że profesora zamordowała osoba zupełnie nie zainteresowana w jego śmierci, a w dodatku posiadająca jeszcze murowane alibi.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Podkowiński – przecież ja naprawdę byłem gdzie indziej, kiedy profesor zginął.

– Nie przeczę. To się zgadza. Nie twierdzę jednak, że dokonał pan, tego czynu własnoręcznie. Wykorzystał pan tylko swoje wykształcenie i zdolności. Mord dokonany został

przy pomocy urządzenia, którego nie musiał pan obsługiwać osobiście.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Przykro mi, ale nie mogę panu wierzyć. Niech pan sobie wyobrazi, że odnalazłem już ten nieszczęsny fotel, który zastąpił pan innym, wziętym z salonu. No, cóż, istotnie mało brakowało, żeby pańskie przedsięwzięcie zostało uwieńczone sukcesem i abym ja wsadził do więzienia niewinnego, biednego Pottera. Popełnił pan jednak jeden bardzo poważny błąd. To zresztą niezupełnie pana wina, na podstawie dziennika nie mógł pan wykombinować tego lepiej. Teraz jednak, kiedy wszystko się wyjaśniło, mogę panu powiedzieć, że Halszka Olszańska, której smutną historię tak dokładnie pan przestudiował, nie popełniła samobójstwa jedenastego, lecz trzynastego marca, a zatem nie w dzień po wyjeździe Palewskiego z Warszawy, ale w dzień po odpłynięciu statku. Nie mógł pan, jak wspominałem, o tym wiedzieć, gdyż dziennik nic o tym szczególnie nie mówi. Ponadto nie mógł pan przecież przewidzieć, że znajdzie się ktoś, kto będzie znał całą sprawę jeszcze sprzed wojny. Zresztą nawet ja sam nie zauważyłem początkowo tej pomyłki. I sam Palewski też jej nie dostrzegł. Któż by pamiętał tak dawne dzieje. Palewski zresztą w ogóle nie skojarzył tego listu ze sprawą Olszańskiej. No cóż, jemu nie radził pan tak jak mnie, aby zajrzał do swego dziennika. Niemniej jednak gdyby nie ten drobiazg, plan byłby doskonały. Szkoda doprawdy, że dwoje tak zdolnych ludzi marnować będzie swoje życie w więzieniu. – Różycki skinął na sierżanta, który oczekiwał przy drzwiach zaparkowanej nie opodal nysy.

Ani chłopak, ani dziewczyna nie odezwali się nawet słowem. Z całkowitym spokojem dali się wprowadzić do okrętowego samochodu, nie spojrzeli nawet na siebie, jak gdyby wstydząc się poniesionej porażki. Sierżant zamknął zasuwane drzwi na klucz. Mikrobus okrążył parking, wjechał na drogę prowadzącą ku śródmieściu Warszawy i po chwili zniknął z pola widzenia.

Różycki odwrócił się do Pawłowskiego.

– No, to nareszcie mamy spokój – powiedział. – Chodź, napijemy się czegoś. Jest tu chyba jakaś kawiarnia?

– Wydaje mi się, że mniej więcej zrozumiałem, o co chodzi – powiedział sierżant, kiedy usiedli przy stoliku – ale jak do tego doszedłeś?

– Jak? No cóż, to proste. Pamiętasz, że obaj podejrzewaliśmy Pottera. Wszyscy inni podejrzani mieli alibi. Dopiero wczoraj, kiedy przemyślałem wszystko jeszcze raz od początku, uświadomiłem sobie, że autor anonimowego listu do Palewskiego popełnił omyłkę. Nie mógł jej zrobić Potter, ponieważ znał te wydarzenia z własnego życia, mam nawet wrażenie, że data trzynastego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku na zawsze utkwiała mu w pamięci. Pomyłka wskazywała, że autorem listu musiał być ktoś, kto całą sprawę znał z jakiejś pośredniej relacji. Raz jeszcze zajrzałem do dziennika i sprawdziłem, że istotnie nie było tam na ten temat dokładnych danych, natomiast znajdująca się tam informacja dotycząca samobójstwa Olszańskiej mogła łatwo do takiej właśnie pomyłki doprowadzić. Podkowiński był jedną z niewielu osób, które miały dostęp do dziennika. Ponadto on właśnie sugerował, że tam może znajdować się wytłumaczenie historii z listem. Moje podejrzania zaczęły się kierować ku niemu. Jednakże wszystko jak gdyby nie miało sensu – sekretarz profesora nie miał przecież żadnego motywu. Ale Podkowiński popełnił jeszcze jeden błąd. Pamiętasz, jak pierwszego dnia, kiedy przyjechaliśmy na miejsce zbrodni, twierdził, że okno w gabinecie profesora było otwarte, gdy on tam przyszedł? Później okazało się, że odciski palców na klamce były wytarte. Czy ktoś, kto wchodzi z zewnątrz przez otwarte okno, musi dotykać klamki, która jak wiadomo znajduje się od wewnątrz? Oczywiście nie. Nie ma więc także żadnego powodu, aby wycierać z niej odciski. To zdawało się sugerować, że cała sprawa z oknem i ze śladem buta była sfingowana. Szczególnie po porównaniu gipsowego odlewu i pionierek Pottera oka-

zało się, że te ostatnie były o pół numeru mniejsze. Można więc było przypuszczać, że ktoś spostrzegł, iż chodzi on w pionierkach, i wykorzystał to, aby wzmocnić jeszcze kierowane na niego podejrzenia. Najwidoczniej nie miał jednak okazji, żeby wziąć dokładnie miarę i na oko wybrać wielkość buta, sądząc, że małej różnicy, jeśli w ogóle taka będzie, nikt nie zauważy. Pamiętasz, jak pokazywałem ci w dzienniku Palewskiego, że dwudziestego listopada odwiedził go Potter. Z kolei Podkowiński wspomniał na samym początku, że przez pięć wieczorów poprzedzających morderstwo siedział w Radości i przepisywał referat profesora. Stąd prosty wniosek, że musiał być w domu obecny, kiedy zjawił się Potter. Wtedy to mógł spostrzec, że chodzi on w pionierkach, i postanowił wykorzystać ten szczegół w swoim gotowym już planie. Przypadek dał mu okazję sfabrykowania jeszcze jednej poszlaki Wszystko, jak widzisz, wskazywało na sekretarza. Ciągle jednak nie mogłem znaleźć motywu. I to było najtrudniejsze do rozwiązania. Podkowiński poza tym miał pewne alibi. Co prawda od początku, kiedy tylko lekarz przekazał mi swoje uwagi na temat kąta, pod jakim został zadany cios, dopuszczałem możliwość, że było to jakieś urządzenie automatyczne, no ale nie mogłem mieć przecież pewności. Powiedzmy jednak, że ten problem wydawał mi się łatwiejszy do rozwiązania. Gorzej było z uzasadnieniem. Spędziłem kilka godzin, próbując domyślić się, w jakim też celu Podkowiński mógł zamordować swego pracodawcę...

– I jak na to wpadłeś?

– Znasz taką książkę Tomasza Manna „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krüllera”? Tam pewien cwaniak i złodziej zamienia się dokumentami ze skłonnym do różnych wybryków potomkiem bogatego rodu. Mniejsza, o co chodzi w powieści. Przypadek chciał, że zanim się sprawa z Palewskim zaczęła, czytałem właśnie tę książkę. Bardzo ją lubię i dlatego często do niej zaglądam. Zaczęło się śledztwo i na czytanie nie miałem czasu. Ale książka leżała na stole. Wczoraj, kiedy tak

się męczyłem i wszystkie moje domysły po kolei okazywały się bezsensowne, spojrzałem na nią i nagle w mojej głowie zaświtał pewien pomysł. Z początku wydał mi się nieprawdopodobny. Pamiętasz, Podkowiński przyznał się, że jego narzeczona po raz drugi pojechała do Stanów. Pobiegłem do biura paszportów i poszperałem w kartotece. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem. Zdjęcie rzekomej panny Palewski przyklejone było do kwestionariusza niejakiej Mirosławy Zelczyk, obywatelki PRL. Teraz wszystko już się zgadzało. Należało tylko znaleźć narzędzie zbrodni. To nie było trudne. W salonie odnalazłem fotel, który został wyposażony w śmiertcionośne urządzenie, a następnie, po dokonaniu zbrodni, wyniesiony z gabinetu. Podkowiński wiedział, że regularnie o dwudziestej pierwszej wieczorem profesor siada na swoim ulubionym fotelu, aby zabrać się do codziennej lektury. Mógł więc z dużą dokładnością przewidzieć, kiedy urządzenie zadziała. Wiedział też, że nikt inny o tej porze na fotelu nie usiądzie. Kiedy zbrodnia została dokonana, a jego alibi było już, zapewnione, przyjechał na miejsce i natychmiast zadzwonił do Pleśniewicza. W czasie, kiedy my byliśmy w drodze, zdążył rozmontować urządzenie i zamienić fotele. Otworzył także okno, żeby uczynić prawdopodobnym podejrzenie, które chciał rzucić na Pottera – skrzypek, jak wiadomo, kluczy do domu nie miał. I tu właśnie popełnił błąd. Potter jakkolwiek nie miał kluczy, mógł po prostu zadzwonić do drzwi, i Palewski z pewnością by mu otworzył. Wystarczyłoby więc, żeby Podkowiński powiedział, iż zastał drzwi nie zamknięte albo żeby upozorował zniknięcie kluczy profesora. Okno było mu jednak potrzebne również do tego, żeby uzasadnić ślad buta pod nim. Na wyłożonym płytami chodniku przed wejściem żaden ślad nie dałby się odcisnąć.

Narzeczeni od dawna musieli przygotowywać cały projekt i rzeczywiście przemyśleli wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Mirosława Zelczyk jak tylko otrzymała telegram, że Palewski nie żyje, gdyż do niej, a nie do córki profesora

depesza została wysłana, wywiozła pannę Betsy Palewski na pustkowie, tam ją; zabiła, zmasakrowała twarz, ubranie spaliła, zabierając uprzednio dokumenty. Następnie wymieniła w paszporcie fotografią, spakowała manatki i prawdopodobnie posługując się swym własnym paszportem, opuściła Stany. Drugi paszport trzymała w torebce. Zmiany dokonała, jak przypuszczam, już w samolocie. To zresztą nie ma większego znaczenia. Tak czy inaczej wszystko się doskonale powiodło. Po załatwieniu pewnych formalności spadkowych w Polsce miała udać się do Szwajcarii i tam przeprowadzić właściwe postępowanie spadkowe. Gdyby nie to, że egzekutorem testamentu był adwokat amerykański zamieszkały w Szwajcarii, cała kombinacja byłaby w ogóle niemożliwa, jako że w innym wypadku adwokat profesora prawdopodobnie znalazłby jego autentyczną córkę. Po odebraniu pieniędzy Zelczyk mogła już ukryć się w jakimś mniej eksponowanym kraiku, gdzie dołączyłby do niej narzeczony i gdzie nikt nigdy by już ich nie odnalazł. Przyznasz, że zgrabnie to było pomyślane. Mało brakowało, a nie rozwiązałbym tej zagadki.

– No dobrze, a co z Potterem? – zapytał Pawłowski. – Po diabła kręcił się koło tej skrzynki?

– Rozmawiałem z nim na ten temat wczoraj wieczorem. Kiedy dowiedział się, że natrafiłem już na inny ślad, przyznał, że kilka rzeczy przed nami ukrył. Wiedział oczywiście o powrocie Palewskiego i przez parę miesięcy myślał bez przerwy o tym, żeby wybrać się do niego i powiedzieć mu, co o nim myśli. Wyznał mi wczoraj, że właściwie sam nie wiedział, co miał zamiar zrobić. W chwilach rozpaczmyślał nawet o zbrodni. Palewski rzeczywiście złamał mu życie. Zdecydował się pójść dopiero dwudziestego listopada. Ale wszystko ułożyło się inaczej, niż to sobie obmyślił. Palewski, gdy tylko skrzyпка zobaczył, poprosił go o przebaczenie, obwinił siebie, słowem, zaczął czarować, używając wszystkich swoich sposobów. Potter czuł, że słabnie wewnątrz. Za wszelką cenę pragnął nie okazać tego. W rezultacie zachował się w taki

sposób, że jak sam mi powiedział, wychodząc bardzo się za siebie wstydził. Satysfakcji żadnej nie uzyskał, tylko się ośmieszył. Dość że po tej całej historii nienawiść jego jeszcze wzrosła. Tego dnia, kiedy odwołano ich występ, zanim pojechał do rodziny, napisał do Palewskiego list. Pokazywał mi go. List był rzeczywiście wynikiem skrajnej rozpacz i poniżenia. Pisał w nim, że Palewski raz jeszcze zdołał go zwyciężyć, a co więcej doprowadził do tego, że on sam ośmieszył się we własnych oczach, napisał też, iż wie już teraz, że w równej walce nigdy z nim nie wygra, ale nie może zapomnieć doznanych krzywd. List kończył się znamiennym zdaniem: „Chyba tylko pańska śmierć wybawi mnie z tej udręki”. Rozumiesz teraz, dlaczego Potter, kiedy dowiedział się, że Palewski został zamordowany, a on sam jest głównym podejrzanym, postanowił za wszelką cenę ten list przechwycić. Za pierwszym razem przyszedł za wcześnie – listu jeszcze w skrzynce nie było. Gdy zjawił się po raz drugi, wskórał tylko tyle, że Kolczyk go zauważył i zapamiętał.

– Podziwiam cię – powiedział Pawłowski. – Cały czas byłem przekonany, że zrobił to ten zwariowany skrzypek.

– Chodźmy – Różycki wstał – muszę zadzwonić do Pleśniewicza i jemu też opowiedzieć tę całą historię. Na pewno ciekaw jest, jak rozwiązana została zagadka śmierci jego znajomego sprzed wojny.